

Barbara Cartland

Miłość od pierwszego wejrzenia

Love at first sight



Od Autora

Do czasów I wojny światowej odbywało się oficjalne kojarzenie małżeństw w rodzinie królewskiej i wśród angielskiej arystokracji. Za sprawą królowej Wictorii, dwudziestu czterech jej krewnych zawarło związki małżeńskie z księżętami i księżniczkami z całej Europy.

W okresie panowania Edwarda VII nie było mowy, aby córka człowieka wywodzącego się z wielkiego rodu sama wybierała sobie męża. Na ogół wszystkim zajmowali się rodzice. Dziewczyna musiała zaręczyć się z kimś, kto posiadał tytuł, a jej narzeczony otrzymywał wraz z nią posag w formie pieniędzy lub posiadłości ziemskich.

W 1918 roku zniesiona została instytucja przyzwoitek. Odtąd każda debiutantka mogła chodzić na bale i przyjęcia w towarzystwie swojego partnera.

Kiedy tego roku i ja szłam na swój pierwszy bal, moja mama narzekała, że w składzie gości nie przewidziano miejsca dla przyzwoitek. Rzeczywiście, nie zostały one zaproszone. Większość mężczyzn, którzy zapraszali mnie do tańca, była zbyt biedna, aby zaproponować coś więcej niż wieczorną zabawę w jednej z eleganckich restauracji lub nocnych klubów.

Po raz pierwszy dziewczyna mogła odrzucić coś, co nazywano dotąd „dobrą partią”, i pójść za głosem swojego serca.

Zanim w końcu wybrałam kandydata na przyszłego męża, otrzymałam czterdzieści dziewięć propozycji małżeńskich!

ROZDZIAŁ 1

Boże, co za finisz!

Okrzyk dobiegi z pierwszych rzędów trybun Klubu Dżokeja w chwili, gdy konie wyszły na prostą. Trumpeter, należący do markiza Rakemoore, był faworytem prawie wszystkich widzów zajmujących trybuny. Tłum ogarnął entuzjazm, zaczęto głośno śpiewać. Działo się tak zawsze, kiedy konie markiza brały udział w gonitwie. Trumpeter szedł łeb w łeb z Ladybird, klaczą, która była własnością diuka Cumberworth.

Obaj właściciele obserwowali bieg stojąc na trybunach.

Twarz diuka poczerwieniała ze zdenerwowania. Usta miał mocno zaciśnięte w obawie, że mógłby zacząć wykrzykiwać słowa dopingu dla swojego konia.

Markiz natomiast, jak miał w zwyczaju, zachował kompletny spokój. Jego twarz miała cyniczny wyraz, nawet z jego oczu nie można było wyczytać żadnego szczególnego zainteresowania. Jednak każdy, kto dobrze go znał, zauważyłby z pewnością ledwo dostrzegalną żyłkę pulsującą na szyi. Była to jedyna rzecz, nad którą nie potrafił zapanować.

Gonitwa była pasjonująca. Obserwatorzy przewidywali, że i tym razem zwycięstwo przypadnie Trumpeterowi. Nieoczekiwanie dla wszystkich Ladybird pojawiła się z lewej strony ich faworyta i teraz oba konie szły równo.

- Nawet szpilki nie można między nie wcisnąć! - krzyknął ktoś wstrzymując oddech.

Wrzask na trybunach był ogłuszający. W większości gonitw to konie markiza odnosiły sukcesy, co spowodowało, że i tym razem cieszył się sympatią tłumu.

Był chyba jednym z najbardziej popularnych właścicieli stajni. Za każdym razem, gdy tylko koń wygrywał, witano to okrzykami radości. Zdarzało się to dość często, więc

wydawało się, że markiz przywykł już do pochlebstw kierowanych pod swoim adresem. Kiedy rozentuzjzmowany tłum wiwatował na jego cześć, zdobył się jedynie na drwiący uśmiech.

Oczywiście, to przede wszystkim kobiety życzyły mu szczęścia i obdarowywały bukietami białych wrzosów. Niezależnie od wieku, młodsze czy starsze, ładne czy brzydkie, wszystkie były pod jego urokiem.

Był naprawdę wyjątkowo przystojny. Miał sześć stóp wzrostu, szerokie, kształtne ramiona i wąskie biodra jak u atlety. Kiedy z wiekiem utracił chłopięcą radość życia, na jego twarzy pojawił się cynizm. W rozmowach z pięknymi kobietami, pobrzmiwała w jego głosie nutka sarkazmu. Stopniowo też zaczynał się upodabniać do swego imienia. Rake (Rake - ang. hulaka, rozpustnik (przyp. tłum.)) - nawet najbliżsi przyjaciele tak się do niego zwracali.

Jednak markiz wcale nie chciał być tym, za kogo go uważano. To imię, tradycja i otoczenie ukształtowały taki, a nie inny, obraz jego osoby.

- Twój problem, Rake, polega na tym - powiedział kiedyś jeden z jego przyjaciół - że masz zbyt wiele i wszystko w życiu przychodzi ci łatwo.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć - odparł.

W rzeczywistości zdawał sobie sprawę, że opinia ta była prawdziwa. Wszystko, co miał, przyszło mu zbyt łatwo. Brakowało mu bodźców, atmosfery współzawodnictwa, tak niezbędnego, jak sądził, dla mężczyzny w jego wieku.

Mając prawie trzydzieści lat, zdążył już poznać wszystkie przyjemności właściwe dla środowiska, w którym się do tej pory obracał. To samo odnosiło się do świata sportu. Ostatniego roku jego konie wygrały Grand National w Aintree i Golden Cup w Ascott. Zajmowały również pierwsze miejsca w wielu innych ważnych wyścigach.

Naprawdę nie ma sensu z tobą walczyć, Rakemoore - zauważył pewnego razu jeden z członków Klubu Dżokeja. - Co do mnie, to uważam, że ty i twoje konie zdominowaliście wszystkie wyścigi, które ostatnio stały się czymś w rodzaju efektywnych widowisk na twoją cześć.

Z pewnością przemawiała przez niego zazdrość, pomyślał markiz, gdyż jego konie nie zdobywały miejsca nawet w pierwszej trójce.

Dopiero po powrocie do domu, zaczął zastanawiać się, czy w tym, co usłyszał, nie znajdowała się odrobina prawdy. Być może on i jego konie naprawdę potrzebowali lepszej konkurencji.

A teraz ku zdumieniu wszystkich, w wielkiej gonitwie w Epsom, jego najlepszy dżokej jadący na Trumpeterze musiał dokładać znacznie więcej starań niż zwykle, żeby nie zawieść.

Meta była tuż, tuż. Markiz obserwował jeźdźca, który napinał wszystkie mięśnie, aby zmusić konia do jeszcze większego wysiłku i pokonania Ladybird. Tłum krzyczał coraz głośniejsze.

Kiedy w końcu oba konie równocześnie minęły metę, diuk wydał z siebie dźwięk przypominający szloch.

- Remis!

- Chyba masz rację - zauważył markiz spokojnie, panując doskonale nad swoimi emocjami.

Przez moment diuk nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Dopiero po chwili odezwał się w nim duch sportowca.

- To był prawdziwy wyścig, Rakemoore - przyznał.

- Ta gonitwa była jedną z ciekawszych, jakie ostatnio oglądałem - odparł markiz.

- Właśnie przyszło mi do głowy - ciągnął diuk - że gdyby udało nam się skrzyżować klacz, od której pochodzi Ladybird,

z twoim ogierem, moglibyśmy wyhodować wspaniałego konia.

Markiz uśmiechnął się.

- To z pewnością dobry pomysł.

- Wydaje się dość rozsądny. A biorąc pod uwagę fakt, że nasze ziemskie posiadłości leżą w bliskim sąsiedztwie, mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję.

- Słucham cię? - zapytał markiz.

Mężczyźni rozmawiali, idąc w kierunku stajni, gdzie po każdym wyścigu odbywało się ważenie dżokejów.

- Moja trzecia córka jest niezamężna - odparł diuk. - Zbliżyłoby was do siebie przynajmniej jedno wspólne zainteresowanie: konie...

Roześmiał się, jakby opowiedział dobry żart, ale markiz nie zareagował. Jego usta zacisnęły się tworząc bardzo wąską linię. Szedł teraz szybko, aby nie stwarzać okazji do odpowiedzi na tę sugestię. Myślał jednocześnie, że było to bardzo typowe dla diuka: w czasie rozmowy o zakończonym właśnie biegu, zasugerował mu małżeństwo ze swoją córką!

- Dlaczego, do diabła, ludzie nie mogą zostawić mnie w spokoju? - zadawał sobie pytanie.

W tym samym czasie prawie bezwiednie uchylił kapelusza, kłaniając się bardzo atrakcyjnej kobiecie.

Zbliżyła się do niego, kładąc smukłą dłoń w rękawicze na jego ramieniu.

- Gratuluję, Rake - mówiła miękkim, uwodzicielskim głosem. - Wiedziałam, że wygrasz.

- Lepsze to niż nic - odrzekł i poszedł dalej.

Jeszcze wiele kobiet dotykało jego ramienia. Prowokacyjnie wydymały wargi, patrząc na niego oczami, które przyzwały na coś więcej.

Zanim dotarł do swojego konia, z tuzin razy musiał uchylać kapelusza. Przyjął gratulacje od tak wielu osób, że nie był nawet w stanie ich policzyć.

Kiedy w końcu poklepał szyję swojego ogiera, dżokej powiedział:

- Robiłem, co mogłem. Ale, na boga, nigdy przedtem nie słyszałem o tej Ladybird.

- Teraz o niej słyszysz - odparował markiz. -

I niewątpliwie wszyscy usłyszymy o niej więcej w przyszłości.

Mówiąc to, próbował w myślach ocenić klacz diuka. Miał do siebie pretensję, że nie zorientował się od razu, jaka była wspaniała.

Diuk był najwyraźniej bardzo zadowolony. Przyjmował gratulacje od swoich przyjaciół, sprawiając przy tym wrażenie, jakby to on sam dosiadał Ladybird.

Markiz, bardziej niż ktokolwiek inny, zdawał sobie sprawę, że takie częściowe zwycięstwo nad Trumpeterem było dużym osiągnięciem. Nie mógł też odpędzić od siebie myśli, że po raz pierwszy pojawiła się prawdziwa konkurencja dla koni z jego stajni.

- Zaczęły osiągać wszystko zbyt łatwo - zganił sam siebie, wiedząc, że była to przede wszystkim jego wina.

Upewniwszy się, że waga dżokeja była odpowiednia, wolnym krokiem skierował się w stronę wybiegu. W następnym wyścigu również brał udział jeden z jego koni. Nie dawał mu jednak szansy na wygraną, gdyż była to dopiero jego pierwsza wielka gonitwa. Jeźdźcem był młody chłopak, z którym markiz wiązał pewne nadzieje, ale na razie zarówno koń, jak i dżokej, mieli zostać poddani próbie.

Obejrząwszy inne konie wystawiane w gonitwie, nie miał wątpliwości co do jej wyników, postanowił więc wrócić do Londynu. Człowiek zarządzający jego stadniną był obecny na

trybunach i na pewno udzieli mu później niezbędnych informacji dotyczących przebiegu wyścigu i przyszłości dżokeja.

Nie zatrzymując się ani razu, poszedł prosto do swojego powozu. Długie podróże samochodem nudziły go, zwłaszcza, gdy ruch na drogach był duży. Powóz był czarny, z żółtymi kołami i obiciami na siedzeniach. Były to kolory jego zawodników, co ułatwiało jego rozpoznawanie. Do powozu zaprzęgnięta była para najszybszych, czarnych koni, doskonale go uzupełniających.

Markiz wspiął się na siedzenie dla woźnicy i ruszył. Kiedy jechał w kierunku bramy, mężczyźni podrzucali kapelusze, a kobiety wymachiwały chusteczkami. Tłum wykrzykiwał:

- Rake! Rake! Powodzenia.

Entuzjazm ogarnął nawet ludzi znajdujących się poza bramą. Jakby był to jego przywilej, kierowcy na drodze rozsuwali się, aby mógł swobodnie przejechać.

Ponieważ godzina była jeszcze wczesna, w miarę jak oddalał się od stadionu, ruch na drodze stawał się słabszy. Jego konie mogły więc biec tak szybko, jak tego chciał.

W czasie drogi, nieustannie myślał. Zdecydował, że zmusi wszystkich ludzi pracujących dla niego do jeszcze większego wysiłku. Podobna sytuacja nigdy więcej nie mogła się powtórzyć! Jak daleko sięgał pamięcią, nie przypominał sobie, aby jego koń nie zajął pierwszego miejsca w wielkiej gonitwie. Nigdy też nie było takiego remis.

Do Londynu, jak się spodziewał, dotarł w rekordowym czasie. Zatrzymał swój powóz obok bujnie rosnących krzaków, przed swoim domem znajdującym się przy Park Lane.

Ze zdziwieniem zauważył bryczkę zaprzęgniętą w jednego konia. Był prawie pewien, że do wieczora nie był z nikim umówiony.

Kolację miał zjeść w towarzystwie lady Wisbourne. Oczekiwał na to niecierpliwie, gdyż Muriel Wisbourne była prawdziwą pięknoscią. Było naturalne, że oboje przypadli sobie do gustu. Markiz musiałby być przesadnie skromny, gdyby nie zauważył, że stanowili razem bardzo dobraną parę. Na ich widok ludziom zapierało dech w piersiach z zachwytu.

Lady Wisbourne była jednak tylko jedną z wielu pięknych kobiet, z którymi był związany. Dzięki temu stanowił doskonały obiekt plotek; szeptano o nim wszędzie i zawsze.

Stajenni, którzy oczekiwali na jego powrót, zajęli się końmi.

Markiz zeskoczył ze swego powozu i poszedł w kierunku wejścia do domu. W sieni znajdowało się czterech służących. Główny lokaj, majestatyczna postać, z włosami przyprószonymi siwizną, podszedł do niego.

- Spodziewam się, że miał pan udany dzień, milordzie.

- Bardzo dobry - - odpowiedział markiz krótko. - Kto mnie oczekuje?

- Kapitan Brentwood, milordzie.

Odetchnął z ulgą. Przez moment myślał, że to znów jakiś nudziarz chciał z nim rozmawiać. Nie cierpiał kwestujących na cele dobroczynne ani młodych krewnych szukających pracy. Ponieważ prowadził dość rozległe interesy, ludzie często zwracali się do niego w podobnych sprawach. Czasami, gdy miał dobry humor, nazywał siebie „Biurem pośrednictwa pracy”, gdyż to właśnie pracy oczekiwała większość spotykanych przez niego ludzi.

Byli wśród nich młodzi, którzy najchętniej widzieli siebie na odpowiedzialnych stanowiskach w jego stadninach, i starsi, którzy większość życia spędzili w wojsku i teraz pragnęli dożyć sędziwej starości, wykonując jakąś lekką pracę. Sądzi, że skoro ma tak wiele kontaktów, znalezienie im odpowiedniego zajęcia nie będzie stanowiło dla niego żadnego

kłopotu. Oczywiście, wszyscy oczekiwali na tak wysokie pensje, jakich nigdzie indziej nie mogliby dostać.

Markiz skierował się do gabinetu. Kiedy otworzono przed nim drzwi, ujrzał swojego przyjaciela, Peregrine Brentwooda, siedzącego wygodnie w fotelu, z kieliszkiem szampana w ręce.

- Witaj, Perry - powitał go. - Nie spodziewałem się ciebie.

- Jesteś dość wcześnie - zauważył Peregrine Brentwood - ale myślę, że wygrałeś.

- Cholerny remis z klaczą Cumberwortha!

- Niewiarygodne! - wykrzyknął Peregrine. - Zakłady w Klubie były tak oczywiste, że nie miałem wątpliwości co do lokaty moich pieniędzy.

- Masz rację - powiedział markiz - i muszę przyznać, że klacz Cumberwortha jest znakomita. Powinienem był to zauważyć jeszcze przed gonitwą.

Peregrine Brentwood roześmiał się.

- To niedopatrzenie jest zupełnie do ciebie niepodobne.

- Chyba i tym razem muszę przyznać ci rację - odparł cierpko markiz. Z kubelka wypełnionego lodem wyjął butelkę szampana i musującym płynem napełnił swój kieliszek. Idąc w stronę kominka, zapytał:

- Czy przyszedłeś do mnie w związku z jakąś szczególną sprawą?

- Jak zwykle czytasz w moich myślach. Odpowiedź brzmi „tak”.

Markiz usiadł. Kiedy zadał następne pytanie, jego głos brzmiał nieco inaczej.

- O co chodzi?

- Mam ci coś ważnego do powiedzenia, ale obawiam się, że cię to zmartwi.

- Zmartwi mnie? - markiz wyraził swoje zdziwienie.

Przyszło mu na myśl, że może lord Wisbourne odkrył związek z jego żoną. Nie zdziwiłby się, gdyby tak się stało, było bowiem powszechnie wiadome, że markiz stanowił ogromne niebezpieczeństwo dla pięknych kobiet. Zazdrośni mężowie zabierali nawet swe żony do wiejskich posiadłości, gdy tylko zauważyli wzrok markiza zwrócony w ich stronę. Żałowali, że minęły już czasy, w których żony bezwzględnie dochowywały wierności swym mężom.

Mimo iż było to niezgodne z prawem, a także z wolą królowej Wictorii często dochodziło do pojedynków. Markiz brał udział w dwóch i za każdym razem udało mu się uniknąć nawet najmniejszego zadraśnięcia. Jego przeciwnicy, którzy mieli dostatecznie dużo powodów, aby rzucić mu wyzwanie, jeszcze przez miesiąc nosili ślady tego wydarzenia.

Lord Wisbourne był starszym mężczyzną. Markiz nie sądził, aby zdecydował się na pojedynek, co wywołałoby niechybnie głośny skandal. Ale oczywiście nie można było przewidzieć, do czego mógł posunąć się mężczyzna, gdy w grę wchodzi jego honor.

Milczenie Peregrine zaczynało być irytujące.

- No, więc, o co chodzi? Możesz chyba powiedzieć, co się stało.

Peregrine odstawił kieliszek.

- Wiesz, Rake - zaczął - że mój wuj jest królewskim szambelanem.

- Tak, oczywiście - odparł markiz, zastanawiając się jednocześnie, jaki to miało związek z jego osobą.

- Bardzo go lubię - kontynuował Peregrine. - Po śmierci moich rodziców on i jego żona otoczyli mnie opieką.

Markiz doskonale zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego. Wiedział również, że w czasie służby w Straży Królewskiej Peregrine mieszkał razem z innymi w koszarach,

nie sądził więc, by łączyły go bliskie stosunki z zamkiem Windsor.

- Ostatniego wieczoru, kiedy ty byłeś umówiony z Muriel Wisbourne, jadłem kolację w towarzystwie mojego wuja, któremu również dokuczała samotność. Po kolacji wuj Lionel napomknął, że królowa ma zamiar posłać po ciebie.

- Królowa ma posłać po mnie? - spytał markiz. - Ale po co?

Peregrine spojrzał na niego i wolno powiedział:

- Księżniczka Saxe - Coburg, Greta, przyjedzie do Anglii pod koniec tygodnia.

Markiz ze zdziwieniem spoglądał na przyjaciela.

- Nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego ze mną.

Peregrine nie odpowiadał i po minucie markiz wyszeptał niedowierzająco

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że... Nie, to niemożliwe!

- Ona jest daleką krewną zmarłego niedawno małżonka królowej - odparł w końcu Peregrine. - Królowa nalega, aby poślubiła kogoś odpowiedniego.

- Odpowiedniego! - wykrzyknął markiz. - Niech mnie diabli, jeśli ożenię się z jakąś Niemką tylko po to, aby zadowolić królową.

- Powiedziałem już wujowi, że na razie nie myślisz o tym, aby się zenić.

- I jaka była jego reakcja? - zapytał markiz.

- Z jego słów jasno wynikało, że królowa od pewnego czasu uważa, że potrzebujesz żony.

- Mój Boże! Pierwszy raz coś takiego słyszę!

Dokładnie tego można się było spodziewać po królowej. Od niepamiętnych czasów zajmowała się kojarzeniem małżeństw swoich krewnych. Po śmierci księcia Alberta podobne wysiłki czyniła dla jego rodziny.

Markiz wiedział, że nie mógłby poślubić nikogo, naprawdę blisko skoligaconego z rodziną królewską. Rodzina Saxe - Coburg była bardzo duża. Dopiero, gdy książę Albert został mężem królowej Anglii, zyskała ona pewne wpływy.

Nie mógł sobie wyobrazić nic bardziej upokarzającego dla siebie, niż rola męża jakiejś Niemki, z którą nic by go nie łączyło.

Prawdę mówiąc, nie lubił Niemców. Ci, których miał okazję spotkać, odznaczali się wyjątkowym brakiem poczucia humoru.

- Przykro mi, Rake - mówił Peregrine. - Wiedziałem, że to cię zmartwi. Pomyślałem jednak, że powinienes się o tym dowiedzieć przed wizytą w zamku Windsor.

- Jeżeli sądzisz, że pozwolę królowej kierować moim prywatnym życiem, to jesteś w błędzie - ostro powiedział markiz.

- Przypuszczałem, że taka właśnie będzie twoja reakcja - odparł Peregrine. - Ale nie masz chyba wielkiego wyboru. Ta propozycja jest równoznaczna z królewskim rozkazem.

Markiz wstał, podszedł do barku i ponownie nappełnił swój kieliszek. Więcej niż jeden kieliszek szampana o tej porze dnia to było coś niezwykłego, bowiem markiz ani nie nadużywał trunków, ani nie był amatorem zbyt wykwintnego jedzenia.

Miał teraz wrażenie, jakby stanął przed trudnościami, których rozwiązanie przekraczało jego możliwości. Zupełnie nie wiedział, jak ma się temu wszystkiemu przeciwstawiać.

Nagle przypomniał sobie coś, co zupełnie wyleciało mu z głowy. Królowa była jego chrzestną matką. Markiza Rakemoore tradycyjnie była damą dworu królowej. Obecność przy jego chrzcie samej królowej była dla markiza wyjątkowym zaszczytem.

Teraz, pomyślał gorzko, sądziła prawdopodobnie, że czyni mu kolejną przysługę.

- Przykro mi, Rake - powtórzył Peregrine.

- Musi być przecież jakieś wyjście - głośno zastanawiał się markiz. - Na miłość boską, Perry, poradź mi, co mam robić.

- Myślę o tym przez cały dzień - odparł Perry.

- Czy widziałeś już tę kobietę? - zapytał markiz.

- Nie - odpowiedział Peregrine - ale widziałem jej siostrę, która wyszła za mąż za jakiegoś francuskiego arystokratę.

- Jak ona wyglądała?

- Tak, jak można się tego spodziewać. Gruba i brzydka, sprawiała wrażenie, jakby nie miała nic ciekawego do powiedzenia. A kiedy w końcu zdołała coś z siebie wykrztusić, jej głos brzmiał okropnie.

Markiz podszedł nerwowo do okna, zaraz jednak cofnął się.

- Nie zrobię tego - powiedział. - Prędzej wyjadę za granicę, niż ożenię się z kobietą, którą jeszcze przed ślubem miałbym ochotę zamordować.

Mówiąc to, pomyślał o swych wspaniałych, doskonałych domach, szczególnie o Rake, siedzibie jego przodków. Była to niewątpliwie jedna z najpiękniejszych posiadłości w całej Anglii. Upływ czasu dodawał domowi jedynie uroku, a to, co się w nim znajdowało, było przedmiotem zazdrości wielu koneserów dzieł sztuki.

Markiz był też bardzo dumny ze swoich przodków. Jeden z nich służył królowej Elżbiecie. Ale postacią godną niewątpliwie największej uwagi, był doradca króla Karola II. Jego historia była przekazywana z pokolenia na pokolenie i każdy szczerze wierzył w jej prawdziwość. Nosił on rodowe nazwisko Moore. Miał takie same hulaszcze skłonności, jak

jego król, co spowodowało, że obaj stali się wkrótce bliskimi przyjaciółmi.

Zaraz po świętach Bożego Narodzenia w pałacu Whitehall wydawano uroczysty obiad. Piękna Barbara Castlemaine spytała króla, czy postanowił już wydać jakąś rezolucję, która miałaby obowiązywać w nowym roku.

Król uśmiechnął się i odpowiedział szarmancko:

- Nie pragnę nic innego, jak tylko kochać się z tobą jeszcze bardziej płomiennie, niż to czyniłem do tej pory.

Wszyscy dworzanie siedzący dookoła głośno się roześmiali, a król, zwróciwszy się do swojego przyjaciela, zapytał:

- A jakie jest twoje życzenie? Tylko nie mów, że takie samo jak moje, gdyż musiałbym cię ściać.

Oczy Moore'a zamigotały.

- Chciałbym być jeszcze bardziej „Rake” niż jestem obecnie, Sir.

Król odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Zaraz potem wykrzyknął: - To właśnie to, czego szukałem: dobre miano dla ciebie. Rakemoore! Będiesz pierwszym lordem noszącym takie nazwisko.

Od tego czasu, tradycyjnie każdy patriarcha rodu, który sto lat później uzyskał tytuł markiza, musiał być „Rake”. W przeciwnym razie byłby bardzo zawiedziony.

I nagle teraz królowa postanowiła to zmienić.

Markiz wiedział, dlaczego. Lady Wisbourne była jedną z ewentualnych pretendentek do tronu po jej śmierci. Wcześniej miał także romans z żoną jednego z członków Izby Lordów. Był to najwyraźniej dostateczny powód decyzji królowej.

- Pomóż mi, Perry - powiedział. - Musi być przecież jakieś wyjście. Może rozmowa z twoim wujem?

Peregrine potrząsnął głową.

- Już go o to pytałem. Podziwia cię jako sportowca, chyba tak samo, jak każdy, i bardzo mu przykro, że musisz związać się z jakąś Niemką.

Jego głos stężał, gdy mówił dalej:

- Jedyna możliwość niewykonania prośby królowej istniałaby wtedy, gdybyś był już zaręczony z inną kobietą.

Na moment zapanowała cisza. Nagle markiz przypomniał sobie, co zasugerował diuk w czasie ich rozmowy w Klubie Dżokeja.

Była to teraz jedyna szansa. Tylko Bóg wiedział, jak bardzo pragnął pozostać kawalerem. Stanął jednak przed wyborem, co do którego nie miał wątpliwości: albo tłusta Niemka, z którą nic by go nigdy nie łączyło, albo prawdziwa Angielka, która przynajmniej tak samo jak on kochała konie.

- Zrobię to! - wykrzyknął nagle.

- To znaczy co? - próbował dowiedzieć się kompletnie zaskoczony Perry.

- Poślubię córkę diuka Cumberwortha.

Peregrine wbił w niego zdziwiony wzrok.

- O czym ty mówisz?

- Kiedy nasze konie razem dobiegły do mety w dzisiejszej gonitwie, diuk zasugerował, że łącząc Trumpetera z jego klaczą udałoby nam się wyhodować wspaniałego konia.

- To rzeczywiście dobry pomysł - wtrącił Brentwood.

Markiz zignorował jego uwagę i ciągnął dalej:

- Powiedział również, choć wtedy wydało mi się to dość impertynenckie z jego strony, że skoro nasze posiadłości leżą obok siebie, powinienem ożenić się z jego najmłodszą córką, która podobnie jak ja, kocha konie.

- Zapomniałem, że diuk ma jeszcze trzecią córkę - zauważył Peregrine. - Jeżeli jest podobna do swoich sióstr, to musi być bardzo ładna. I, co najważniejsze, jest Angielką.

- To jest właśnie to, o czym pomyślałem - zgodził się markiz.

- Jeżeli myślisz o tym poważnie, musisz się pospieszyć. Sądzę, że dziś wieczorem dostaniesz wiadomość. Chociaż równie dobrze królowa mogła już ją wysłać.

- Dowiem się, a jeśli okaże się, że to wszystko nieprawda i niepotrzebnie się tym przejmuję, osobiście skreć ci kark.

- O jednym mogę cię zapewnić - odparł Peregrine - nie martwiłbym cię, gdybym nie sądził, że sprawa jest poważna.

Markiz nie odpowiedział. Czekał, aż otworzą się drzwi. Kiedy zobaczył w nich lokaja, zapytał:

- Czy jest dla mnie jakaś wiadomość z pałacu Buckingham?

- List przyniesiono zaraz po pana powrocie, milordzie. Czekałem na sposobność doręczenia go panu.

Jakby za pomocą magicznej siły, zza jego pleców ukazała się złota tacka. Znajdowała się na niej koperta, która, jak było wiadomo obu mężczyznom, pochodziła z kancelarii szambelana królowej.

Markiz wziął kopertę, a lokaj wycofał się. Na wierzchu ujrzał swoje nazwisko, nie otworzył jej jednak, tylko rzucił na kolana przyjaciela.

- Ty otwórz - powiedział. - Wiem, co jest w środku, i ogarnia mnie wściekłość na samą myśl.

Peregrine otworzył kopertę odchylając jej brzeg, który nie był dość mocno przyklejony. Przeczytał list.

- To, czego się spodziewaliśmy. Jej Wysokość pragnie spotkać się z tobą jutro, o wpół do trzeciej.

Markiz bez słowa podszedł do okna i spojrział w dół, nic nie widzącym wzrokiem, na ogród rozciągający się na tyłach domu. Kolorowe, wiosenne kwiaty i drzewa pokryte zielonymi liśćmi stanowiły wspaniały widok. Jednak jego

myśli błądziły teraz gdzie indziej. Wyobraził sobie długą jadalnię w Rake, gdzie wydał tyle wesołych przyjęć.

Od dawna wiedział, że pewnego dnia musi zapewnić ciągłość rodu, a to oznaczało, że będzie się musiał ożenić. Próbował wyobrazić sobie swoją przyszłą żonę siedzącą przy stole naprzeciw niego i ubraną we wspaniałą biżuterię Rakemoore'ów.

Wyglądałaby jak jego matka, kiedy tam siadała. Zawsze chciał, aby była równie piękna jak ona i miała równie silną osobowość i charakter.

Matka zmarła, gdy miał dziesięć lat. Nigdy nie mógł zapomnieć, jaka była delikatna i dystygowana. Zawsze, kiedy wieczorami przychodziła do jego pokoju, aby powiedzieć mu dobranoc, brała go w ramiona. Nadal pamiętał zapach jej fiołkowych perfum. Słuchała jego wieczornych modlitw, a potem pocałowawszy go w policzek, mówiła:

- Niech Bóg sprawuje nad tobą opiekę, a aniołowie czuwają nad spokojnym snem.

Kiedy umarła, poczuł ogromną pustkę. Każde wspomnienie o niej powodowało ogromny ból, postanowił więc zapomnieć. Nadal jednak tęsknił za nią i potrzebował jej.

Bez wątpienia wyrósł na bardzo przystojnego mężczyznę. Kobiety zabiegały o jego względy, ich słowa schlebiali mu, zanim jeszcze opuścił Eton kilka z nich znalazło się w jego ramionach.

Stanowiły dla niego pokusę, której nie potrafił się oprzeć. To było takie łatwe, nie musiał robić nic, aby przyciągnąć ich uwagę. Jednak żadna z nich nigdy nie przypominała jego matki, nie zajęła też miejsca w jego sercu, które wciąż przeznaczone było tylko dla niej.

Teraz, pozbawiony jakiegokolwiek wyboru, zmuszony był wziąć żonę, której nigdy wcześniej nie widział.

Peregrine przedstawił przyjacielowi treść listu i umilkł. Również markiz nie odzywał się przez dłuższy czas.

W końcu odwrócił się od okna.

- No, cóż - zaczął szorstkim głosem - napiszę do diuka, że rozważyłem jego propozycję i złożę mu jutro wizytę, aby przedyskutować szczegóły.

- Czy sądzisz, że Cumberworth jest w Londynie? - zapytał Peregrine.

Markiz, siedząc znowu za biurkiem, spojrzał na niego zaskoczony.

- Chcesz przez to powiedzieć, że mógł wyjechać na wieś?

- Moim zdaniem, to bardzo prawdopodobne. Spędza tam większość czasu.

- Nie pomyślałem o tym. - Przez moment zastanawiał się, a potem zdecydował:

- Wyjeżdżam do Rake, natychmiast. Muszę tylko odwołać mój wieczór z Muriel Wisbourne i... lepiej, żebyś mi towarzyszył, w przeciwnym bowiem razie mógłbym skoczyć do jeziora.

W pokoju rozległ się głośny śmiech Peregrine.

- Jeśli myślisz o tym, aby się utopić, będzie to chyba niemożliwe, zważywszy na to, jak dobrze pływasz. Głowa do góry, Rake! Może nie będzie tak źle, jak ci się wydaje.

- Ale może być gorzej - markiz najwyraźniej nie podzielał jego optymizmu.

Perry wstał, mówiąc:

- Jeżeli zamierzasz dotrzeć do Rake w porze kolacji, musimy zaraz wyruszyć. Możesz spotkać się z diukiem jutro rano, a potem wrócić do Londynu, aby złożyć wizytę królowej.

- Brzmi to jak przygotowania do wielkiej wyprawy - narzekał markiz.

- Naprawdę przykro mi, Rake, że znalazłeś się w takiej sytuacji. Ale mogę cię zapewnić, że małżeństwo z córką diuka z dwojga złego jest najlepszym wyjściem.

- To chyba właściwe słowo - powiedział markiz. - Takim wyjściem, które zmusi mnie, abym znienawidził kobietę już od chwili, gdy włożę obrączkę na jej palec.

ROZDZIAŁ 2

Jadąc z prędkością, jaką tylko markiz był w stanie osiągnąć, dotarli do Rake parę minut po ósmej.

Tym razem markiz kierował innym zaprzęgiem. Konie były jednak równie szybkie jak te, którymi powoził jadąc na wyścigi.

Obserwując go, Peregrine pomyślał, że nikt nie umiałby robić tego lepiej. Gdyby żył w epoce Cesarstwa Rzymskiego byłby z pewnością oklaskiwany przez Koryntian.

Nie rozmawiali wiele, gdyż markiz musiał skoncentrować się na drodze. Na jego twarzy malowała się wściekłość i przygnębienie.

Kiedy znaleźli się w długiej alei, na końcu której widać było posiadłość, Peregrine zawołał:

- Jedna rzecz jest pewna: jeżeli chodzi o konie, to nie straciłeś jeszcze wyczucia.

Nie zdążył wypowiedzieć swych słów do końca, gdy zorientował się, że popełnił duży nietakt. Zasugerował bowiem przyjacielowi, że nie poszczęściło mu się przy wyborze żony. Próbował pokryć swoją niegrzeczność żartem, który na krótko oderwał myśli markiza od dręczących go spraw.

Lokaj oczekiwał na nich u szczytu schodów, prowadzących do wejścia. Dwaj inni służący właśnie rozkładali na stopniach czerwony dywan.

Rake było wspaniałą posiadłością. Każdy, kto był tu po raz pierwszy, musiał przyznać, że jest to najwspanialszy dom jaki widział do tej pory. W połowie osiemnastego wieku pradziadek markiza zlecił jego przebudowę. Nad mieszaniną różnych stylów architektonicznych dobudowano fasadę. Rezultat był zadziwiający. U szczytu ustawiono ogromne dzbany wypełnione po brzegi kwiatami i wspaniałe posągi, a między nimi powiewał proporzec z godłem Rakemoore'ów.

Długa kondygnacja schodów prowadziła do szeregu jońskich kolumn, które wyglądały, jakby przeniesiono je wprost z greckiej świątyni.

Za każdym razem, kiedy Peregrine odwiedzał to miejsce, myślał, że dom ten stanowił urzeczywistnienie marzeń każdego człowieka. Jednak w tym momencie pochłaniało go co innego, niepokoił się stanem przyjaciela.

Markiz ponuro rozmyślał nad swoją przyszłością i nawet piękno domu nie było w stanie wpłynąć na niego pocrzepiająco.

Kiedy rozeszli się do swoich pokoi, na każdego z nich czekała już gorąca kąpiel. Dwadzieścia minut później, przebrani w wieczorowe stroje zeszli na dół. Podczas kolacji, która okazała się wyśmienita, wymieniali swoje uwagi dotyczące sportu. Dopiero, gdy znaleźli się w bibliotece, gdzie markiz często szukał schronienia w chwilach samotności, powiedział do Peregrine'a:

- Chyba nie będę musiał spieszyć się ze ślubem po oficjalnym ogłoszeniu zaręczyn.

Peregrine wiedział, że to zaprzętało teraz myśli przyjaciela, musiał go jednak rozczarować.

- Sądzę, że diuk będzie nalegał, aby ślub odbył się jeszcze przed końcem sezonu.

Markiz zacisnął usta. W najlepszym wypadku oznaczało to początek lipca. Myślał, że jeśli zręcznie wszystkim pokieruje, to, być może, uda mu się przekonać swoją narzeczoną, że nie pasują do siebie. Mógłby wtedy odwołać ceremonię i ślub nie odbyłby się.

Z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że każda kobieta bez wyjątku będzie dumna z noszenia jego tytułu. Diuk także zrobi wszystko, aby ślub odbył się jak najszybciej, gdyż posiadanie takiego zięcia było dla niego bardzo korzystne.

Ponieważ nie było już o czym dyskutować, obaj mężczyźni wcześniej poszli do swoich sypialni.

Markiz spędził bezsenną noc, myśląc wciąż o tym, że dni jego wolności są policzone.

- Zostałem złapany, pokonany i uczyniono mnie niewolnikiem - powtarzał.

Na krótko przed świtem udało mu się zasnąć, ale kiedy lokaj przyszedł, aby go obudzić, już nie spał. Bez pomocy sam szybko i zręcznie się ubrał, co wywołało irytację służącego. Kończył już śniadanie, zanim Peregrine zszedł na dół.

Poprzedniego wieczoru ustalili, że Perry sam wróci do Londynu. Markiz, po złożeniu wizyty diukowi, miał udać się prosto do zamku Windsor. W czasie rozmowy z królową konie w zaprzęgu, oczekującym na zewnątrz, miały zostać zmienione, co umożliwiłoby mu szybki powrót do Londynu.

Markiz trzymał rozstawne konie w niewielkich stajniach przy głównych drogach. Taka organizacja sprawiała, że rzadko podróżował ze zmęczonymi końmi.

- Co zamierzasz robić dziś wieczorem? - zapytał Peregrine, kiedy markiz skończył śniadanie.

- Mam ochotę zobaczyć się z Muriel Wisbourne - odparł.
- Sądzę, że to jedna z tych rzeczy, o których na dłuższy czas będę musiał zapomnieć - dodał gorzko.

- Upieranie się przy tym, co może ci tylko przynieść szkodę, nie ma sensu. Z twoją inteligencją powinieneś starać się jak najwięcej na tym skorzystać.

- Ale jak?

- Może dziewczyna okaże się lepsza niż myślisz. Jeżeli jest młoda i bystra, możesz nauczyć ją wszystkiego, czego zechcesz.

- Z tego, co wiem, młode dziewczyny są albo przesadnie skromne, albo chichocą przy każdej możliwej okazji! - zauważył sarkastycznie markiz.

Peregrine roześmiał się, a potem powiedział:

- Nie zapominaj, że przed paru laty Muriel Wisbourne i inne piękności były również takimi „debiutantkami”, i kiedy ty nawet nie spojrziałbyś na nie, inny mężczyzna nauczył je tego, co teraz potrafią.

- Chyba masz rację - przyznał markiz, sprawiając przy tym wrażenie, jakby zupełnie o tym nie pomyślał.

- To, co musisz zrobić, to przekonać siebie - ciągnął Peregrine - że choć teraz twoja narzeczona wydaje ci się niedoświadczona, za kilka lat może stać się pełną wdzięku, dowcipną kobietą.

Przerwał na chwilę, zaraz jednak dodał:

- I z pewnością nauczy się postępować z mężczyznami takimi, jak ty.

Przez głowę markiza przemknęła myśl, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, byłaby żona zachowująca się jak Muriel Wisbourne czy którakolwiek z kobiet, z jakimi był do tej pory związany. Zawsze uważał, że uwodzenie żon innych mężczyzn jest nieco żenujące, choć było to w zwyczaju towarzystwa z Mayfair. Teraz zastanawiał się, czy rzeczywiście w przyszłości będzie musiał nauczyć swoją żonę, aby była taka, jak jego kochanki. Ten pomysł mocno go zaskoczył.

Ponieważ nie miał ochoty przedłużać dyskusji, podniósł się i powiedział:

- Lepiej już pojedę. Posłałem gońca, aby zawiadomił diuka, że niedługo może się mnie spodziewać. Na pewno przygotował już konia i córkę na mój przyjazd.

Peregrine uśmiechnął się.

- Ciekawe, kogo pokaże ci najpierw? - zapytał. Markiz nie zareagował.

- Do widzenia, Perry. Jeżeli uda mi się załatwić wszystko na czas, wpadnę do White Club, aby ci o tym opowiedzieć.

- Naturalnie, chciałbym wiedzieć, jak poszła ci rozmowa z diukiem.

Markiz zawahał się.

- Chyba powinienem ci podziękować, Perry. To dzięki tobie uniknąłem królewskiej pułapki.

- Przynajmniej raz w roku mogę zrobić coś pożytecznego.

Minęli jadalnię i znaleźli się w sieni, gdzie czekał już na nich lokaj.

- Milordzie - zaczął, zwróciwszy się do markiza - pan Barrett chciałby porozmawiać z panem o paniczu Robinie.

- O paniczu Robinie! - zawołał markiz. - Co się stało?

- O tym właśnie chciał pomówić pan Barrett, milordzie.

- Nie mam teraz czasu - uciał markiz. - Wrócę pojutrze i wtedy będę mógł z nim porozmawiać.

- Dobrze, milordzie.

Zbiegł w dół, po schodach i wskoczył do eleganckiego powozu, do którego zaprzęgnięta była para wyjątkowo pięknych, gniadych koni.

Peregrine spojrzał na nie z podziwem.

- Do zobaczenia, Rake - zawołał, machając na pożegnanie ręką, ale markiz nie odwzajemnił jego gestu. Kiedy odjeżdżał, na jego twarzy malował się smutek.

Brentwood odwrócił się, aby wejść do domu. Bates, lokaj poszedł za nim.

- Nie wiedziałem, że jego lordowska mość nie wróci dziś.

- Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie. - Pan Barrett bardzo nalegał na to spotkanie.

- Co stało się z tym małym chłopcem? - zapytał Perry.

Bates westchnął.

- Nic nie możemy dla niego zrobić, sir. Naprawdę nic.

Markiz myślał o tym samym, jadąc długą aleją. Poprzedniego wieczoru umyślnie nie zapytał o swojego

bratanka. Wiedział, że nie usłyszy nic dobrego i nie mógł już tego dłużej znosić.

Siedmioletni Robin Moore był synem jego jedyne go brata, który zginął w wypadku w czasie polowania, osiemnaście miesięcy temu. Markiz bardzo kochał swojego brata i jego śmierć głęboko go poruszyła. Od tego czasu robił wszystko, co mógł, aby pomóc wdowie i jej małemu synkowi.

Niestety, lady Guy Moore zawsze była bardzo delikatną kobietą. Śmierć męża okazała się dla niej zbyt wielkim ciosem. Znacznie podupadła na zdrowiu i sześć miesięcy później zmarła.

Markiz stał się więc jedynym opiekunem Robina. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie podoła tym obowiązkom, W końcu doszedł do wniosku, że za odpowiednią opłatą każdy z krewnych chłopca zgodzi się nim zaopiekować.

Na nieszczęście, jego bratanek był bardzo niesfornym dzieckiem. Po miesiącu zmuszony był zabrać go z powrotem do Rake. Znalazł chłopcu guwernantkę, ale i ona również uznała go za zbyt niegrzecznego i zrezygnowała z pracy. Przez kolejne miesiące przez dom przewinęło się jeszcze kilka guwernantek, ale wszystkie odchodziły z tego samego powodu: z chłopcem trudno było wytrzymać.

Przyczyna, dla której Barrett chciał z nim rozmawiać była mu doskonale znana: odeszła kolejna guwernantka.

Ostatnia opuszczała Rake mówiąc, że Robin jest wcielonym diabłem. Dodała też, że nie zostałaby w tym domu ani minuty dłużej, nawet gdyby płacono jej milion funtów rocznie!

- Co mam robić z tym dzieckiem? - markiz pytał sam siebie.

Chłopiec był za mały, aby posłać go do szkoły. Chyba czas najwyższy znaleźć mu guwernera. Może mężczyzna będzie umiał sobie z nim poradzić.

W tym czasie nauczył się jednej rzeczy: wszelkie kary cielesne powodowały jedynie, że dziecko stawało się jeszcze bardziej uparte i niezdolne. Nie było takiej siły, która zmusiłaby Robina do zmiany zachowania. Jego odpowiedzią na wszystkie prośby i nakazy była jeszcze większa zuchwałość.

Jedyną zaletą było to, że wspaniale jeździł konno. Zresztą, nie było to niespodzianką, zważywszy, że jego ojciec był prawie tak samo dobrym jeźdźcą, jak markiz. Chłopiec miał do czynienia z końmi, odkąd był wystarczająco duży, aby utrzymać się w siodle. Dopiero siedząc na koniu zachowywał się mniej lub bardziej poprawnie. Nawet wtedy jednak nie słuchał nikogo, markiz nakazał więc aby w czasie każdej przejażdżki towarzyszyło mu dwóch służących. Przynajmniej jeden z nich mógł kontrolować malca.

Czuł jednak w głębi duszy, że i to nie da żadnego rezultatu.

Zastanawiał się, czy jego przyszła żona będzie w stanie poradzić sobie z Robinem. Przypomniawszy sobie jednak, że kobieta, którą miał poślubić, sama była jeszcze dzieckiem. Kto wie, może i ona przysporzy mu tyle kłopotów, co chłopiec.

- Boże, dlaczego to wszystko spotyka właśnie mnie? - pytał. Brzmiało to jak płacz mężczyzny stojącego przed zadaniem, którego wykonanie przekraczało jego możliwości.

Dotarcie do domu diuka zabrało mu tylko pół godziny.

Porównując posiadłość Worth Castle do Rake, markiz poczuł rozczarowanie. Dom diuka był duży, brakowało mu jednak określonego stylu architektonicznego. Jedyną jego ozdobę stanowił malowniczy ogród, rozciągający się na tyłach.

W tym momencie jednak nie interesował go dom, choć zdawał sobie sprawę, ile czasu upłynęło od jego ostatniej wizyty tutaj. Cumberworthowie byli dużo starsi od niego, nie

należeli więc do tego samego towarzystwa. Widywał ich głównie podczas wyścigów, a także na spotkaniach mieszkańców całego hrabstwa.

- W przyszłości będziemy mieli więcej okazji do spotkań - pomyślał sarkastycznie.

Lokaj, który czekał już na niego przy frontowych drzwiach, zaprowadził go od razu do gabinetu. Diuk wstał zza biurka, gdzie do tej pory siedział, aby powitać gościa.

- To dla mnie wielka niespodzianka, Rakemoore! - zawołał na powitanie. - Wczoraj na wyścigach nie przypuszczałem, że tak szybko zamierzasz wrócić na wieś.

- Ja również - odparł markiz, siadając na fotelu wskazanym przez gospodarza.

- Jest chyba za wcześnie, aby zaproponować ci drinka - zasugerował diuk.

- Dopiero co zjadłem śniadanie. I nie zostanę długo, mam dziś jeszcze audiencję u królowej.

- Ach, rozumiem - powiedział diuk. - Chcesz porozmawiać ze mną o moich klaczach. Zaraz ci je pokażę. Są naprawdę wspaniałe.

- Udowodniła to wczoraj Ladybird - zgodził się markiz.

Oczy diuka zamigotały.

- Była to chyba dla ciebie niespodzianka? Chciałem, aby tak się stało.

- I udało ci się.

- Kiedy mogę oczekiwać twojego ogiera?

- Jest jeszcze coś, o czym chciałbym pomówić - markiz zamierzał od razu wyjawić prawdziwy powód swojej wizyty. Diuk spojrzał zdziwiony.

- Chodzi o twoją wczorajszą propozycję.

Przez chwilę diuk próbował przypomnieć sobie, o czym rozmawiali, a potem zawołał:

- Chcesz powiedzieć, że... Tak, jesteś zainteresowany Lavinia!

- Nie wspominałeś, że masz trzecią niezamężną córkę.

- Tak, tak oczywiście! Lavinia ma osiemnaście lat. Pod koniec tego miesiąca kończy żałobę po swojej matce. Niedługo też rozpoczyna pierwszy sezon towarzyski i zostanie przedstawiona na dworze.

Markiz wstrzymał oddech.

- Proszę o rękę twojej córki, lady Lavinii - Wypowiedzenie tych słów przez prawie ściśnięte usta stanowiło dla niego duży wysiłek.

- Młody człowieku, nikogo nie powitam chętniej w roli mojego zięcia niż ciebie - odparł diuk. Wydawał się tak samo szczęśliwy jak poprzedniego dnia, kiedy jego klacz dobiegła do mety razem z Trumpeterem.

Podszedł do kominka i pociągnął za dzwonek, aby przywołać służbę.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast i stanął w nich lokaj.

- Przynieś butelkę szampana, tylko szybko.

- Tak jest, wasza miłość.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, diuk powiedział:

- Bardzo mnie to cieszy, drogi chłopcze, że zobaczę moją córkę u twego boku.

- Ja również jestem bardzo zadowolony - skłamał markiz.

- Przed odjazdem chciałbym jeszcze zobaczyć lady Lavinie. Niestety, mam dziś niewiele czasu. Nie mogę pozwolić, aby królowa na mnie czekała. - Oczywiście, oczywiście. Zaraz po nią pośle. Ponieważ lokaj poszedł już po szampana, sam wyszedł na korytarz. Markiz usłyszał, jak przywoływał innego służącego.

Podniósł się z fotela, w którym siedział do tej pory. Podszedł do okna i spojrzał na ogród, który był równie piękny,

jak jego własny. Pomyślał, że oto w jego życiu rozpoczynał się ciąg wydarzeń, które napawały go odrazą. Przyjęcia zaręczynowe dla obu rodzin, rozmowy z prawnikami na temat spraw finansowych i nie kończące się dyskusje dotyczące przebiegu ślubu i uroczystości weselnych. A kiedy w końcu nadejdzie ten dzień, będzie to dla niego koszmar.

Markiz był już drużbą na kilku ceremoniach ślubnych i za każdym razem wydały mu się one okropne. Tłum ludzi zebranych w kościele chichotał ukradkiem na widok panny młodej, za którą z ponurymi minami kroczyły zazdrosne druhny, i jej przyszłego męża, na którego twarzy malowały się ślady ostatniego wieczoru kawalerskiego. Gdy nadchodziła chwila odjazdu i, znajdujących się już w powozie, małżonków obsypywano płatkami kwiatów, okazywało się, że obok siebie siedzą zupełnie obcy sobie ludzie. Ponieważ ich małżeństwo zostało zaaranżowane przez rodziców, nie łączyło ich zazwyczaj żadne uczucie.

Zwykle pan młody zaspokajał ambicje przyszłej teściowej albo zmuszony był przez własnych rodziców do przedłużenia ciągłości rodu. Panna młoda natomiast paradowała jak koń przed licytatorami.

- To wszystko jest wstrętne - pomyślał markiz. Odwrócił się od okna, świadom, że nie jest już sam w gabinecie.

- Co za straszliwy pech - mówił diuk. - Lavinia wybrała się na konną przejażdżkę, zanim zdążyłem po nią posłać.

Markiz odczuł wyraźną ulgę.

- No cóż, muszę już jechać. Może mógłbym złożyć państwu wizytę w drodze powrotnej do Rake.

- Naturalnie, drogi chłopcze. Przyjedź jutro na lunch. Wszyscy będziemy zachwyceni widząc cię tu znowu.

Zamilkł na chwilę, markiz również się nie odzywał, a potem dodał:

- Chyba nawet dobrze się składa, że Lavinia wybrała się na tę przejażdżkę. Chciałbym trochę z nią porozmawiać przed waszym spotkaniem.

Znowu przerwał, zaraz jednak ciągnął dalej:

- Jest bardzo nieśmiała. Od czasu śmierci matki prowadzi bardzo spokojne życie. Prawdę mówiąc, przez ten ostatni rok nie spotkała żadnego młodego mężczyzny.

- Rozumiem - zgodził się markiz. - Rzeczywiście, będzie lepiej, jeśli lady Lavinia będzie przygotowana na nasze spotkanie.

- Pomysł małżeństwa na pewno ją zachwyci - powiedział uspokajająco diuk.

- Z niecierpliwością będę oczekiwał następnej wizyty u Waszej Miłości - dodał markiz.

Skierował się w stronę drzwi, a diuk poszedł za nim.

Na korytarzu obaj mężczyźni zobaczyli lokaja spieszącego w ich stronę z butelką szampana w ręce.

- Za późno - zawołał diuk. - Jego lordowska mość musi już jechać.

Lokaj stanął obok, aby ich przepuścić. Kiedy go mijali, diuk odwrócił się i szepnął coś do niego. Jednak jego słowa doleciały do uszu markiza

- Nie otwieraj butelki. Na razie nie potrzebujemy szampana.

Markiz wsiadł do swej bryczki, czując jednocześnie ogromną ulgę. Miał wrażenie, że skoro nie spotkał się z lady Lavinia, udało mu się uniknąć czegoś bardzo kłopotliwego. Wiedział zbyt dobrze, że propozycja małżeństwa nie spodoba się dziewczynie. Z drugiej strony, być może, do czasu ich spotkania zdąży się już przyzwyczaić do tej myśli.

Pomyślał, że kiedy się jej oświadczy, powinni być sami. Tego chyba oczekiwała większość kobiet. Nagle przypomniało mu się coś, co mówił jeden z jego przyjaciół.

Gdy oświadczał się swojej narzeczonej, ofiarował jej również zaręczynowy pierścionek.

- Wyjmę jeden z sejfów - powiedział markiz do siebie. Kolekcja biżuterii Rakemoore'ów zawierała bardzo wiele różnych kosztownych drobiazgów. Wśród nich znajdował się też pierścionek zaręczynowy jego matki. Był bardzo ładny, z dużym brylantem w kształcie serca, otoczonym mniejszymi brylancikami.

Markiz pamiętał, że jego rodzice bardzo się kochali jeszcze na długo przed oficjalnymi zaręczynami.

- Zakochałam się w twoim ojcu w chwili, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam. - Jako mały chłopiec często słyszał tę historię opowiadaną przez matkę. - Był najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Ale w czasach swojej młodości, jak każdy mężczyzna z jego rodu był „rake”, nie myślałam więc, że mógłby mnie pokochać.

- Ale tak się stało, mamo!

- Zakochał się we mnie, gdy tańczyliśmy razem na balu wydawanym przez mojego ojca - mówiła dalej. - Kiedy muzyka ucichła, wymknęliśmy się razem do ogrodu. Muszę przyznać, że w tamtych czasach było to uważane za coś bardzo niestosownego.

- I co było potem? - nalegał markiz.

Matka uśmiechnęła się.

- Staliśmy pod drzewem obwieszonym lampionami, a twój ojciec powiedział: "Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu spotkałem. To chyba sen".

- I zaręczyliście się.

- Kilka tygodni później - odparła. - Do tego czasu wiedzieliśmy już, że nie potrafimy bez siebie żyć.

W jej oczach pojawiło się rozmarzone spojrzenie.

- I jak w każdej bajce, żyliśmy długo i szczęśliwie.

Teraz, przypominając sobie to wszystko, markiz prawie słyszał jej łagodny głos, kiedy opowiadała mu o najwspanialszych chwilach swojego życia.

Niewątpliwie, jego rodzice byli bardzo udanym małżeństwem. Tak udanym, że śmierć matki, która zostawiła pogrążonego w rozpaczę męża i synka, wszystkim wydała się bardzo okrutna.

Mały markiz tęsknił za ramionami, które wieczorem czule tuliły go do snu. Płakał, ponieważ nie przychodziła, aby pocałować go na dobranoc, choć w ciągu dnia starał się ukrywać swoje uczucia.

Wiedział również, jak bardzo cierpiał jego ojciec. Sam nigdy nie chciałby cierpieć w podobny sposób. Od czasu śmierci żony ojciec stał się innym człowiekiem, jakby obawiał się miłości, która tak mocno go zraniła.

Wkrótce się przekonał, że było wiele kobiet gotowych uprzyjemnić mu życie. Ale ofiarowywały mu one coś innego. Żadna z nich nie dała mu prawdziwej miłości ani też on nie potrafił pokochać nikogo tak jak żonę. Nie sądził, aby kiedyś mógł odnaleźć takie uczucie.

*

Po drodze markiz zatrzymał się na lunch, a kiedy dotarł w końcu do zamku, miał jeszcze pół godziny do planowanej audiencji u królowej. Poczł ogromną wdzięczność dla swojego przyjaciela Peregrine Brentwooda. Gdyby nie on, jechałby teraz zupełnie nie przygotowany na to, co miał usłyszeć.

Postanowił na tyle zachować zimną krew, aby nie powiedzieć królowej, że nie ma prawa ingerować w jego prywatne życie. Za taką obrazę zostałby niewątpliwie wyrzucony z dworu królewskiego, co okryłoby hańbą nie tylko jego, ale również całą rodzinę.

Jeden z dworzan poprowadził go przez szereg długich korytarzy do królewskiej poczekalni. Markizowi nie spodobał się ten człowiek. Robił wrażenie, jakby wiedział, co go czeka u królowej. Kiedy mówił, w jego głosie dało się słyszeć ironię, a w oczach pobłyskiwały złośliwe iskierki. Pokora markiza, który zbyt długo prowadził beztroskie życie, sprawiała mu wyraźną przyjemność.

- Jestem pewien, że Jej Wysokość nie każe panu długo czekać, milordzie - mówił z udawaną uprzejmością. - Wiem, że królowa z radością oczekuje na pańską wizytę.

- Ja również jestem szczęśliwy mogąc ujrzeć Jej Wysokość - odparł markiz wolno. - Chciałbym oznajmić królowej coś ważnego.

Ujrawszy zdziwienie na twarzy dworzanina, poczuł wyraźne zadowolenie, gdyż udało mu się popsuć dobry humor temu człowiekowi.

Ludzie, którzy razem z nim oczekiwali na audiencję, byli tak onieśmieleni majestatem królowej, że markiz poczuł dla nich pogardę. Trzymał w ręku atutową kartę. Teraz zaskoczy wszystkich, którzy próbowali złapać go w te sidła.

Czekał ponad dziesięć minut.

- Jej Wysokość oczekuje pana, milordzie - ściszone głosem oznajmił w końcu aide - de - Camp. Mówił tak, jakby znajdowali się w kościele.

Markiz wstał i wolnym, majestatycznym krokiem skierował się ku drzwiom. Był świadomy, że idzie na spotkanie z kobietą, która reprezentuje największe imperium świata.

Pokój, w którym bywał już wcześniej, urządzone był z wyjątkowym przepychem. Znajdowało się tu ponad dwieście fotografii w srebrnych ramkach, poustawianych na wszystkich meblach.

Królowa siedziała w swym ulubionym fotelu. Ubrana na czarno wyglądała jak zwyczajna, starsza, niewysoka kobieta. Ale markiz wiedział doskonale, że jedno z jej srogich spojrzeń mogło przerazić nawet najodważniejszego mężczyznę.

- Szlachetny markiz Rakemoore - zapowiedział go aide - de - Camp.

Zbliżył się do królowej. Wyciągnęła dłoń, a on z najwyższą kurtuazją ucałował ją.

- Jak się pan miewa, milordzie? - zapytała. Uśmiechnęła się, jej oczy przypatrywały mu się ciekawie, kiedy składał głęboki ukłon. Lubiła przystojnych mężczyzn. To, czego w nich nie aprobowала, to było, jak sama nazywała, „nieodpowiednie zachowanie”.

- Wielki to dla mnie honor - powiedział markiz - że Wasza Wysokość zaprosiła mnie dzisiaj. W istocie jednak sam zamierzałem poprosić o audiencję, gdyż mam Waszej Królewskiej Mości coś ważnego do oznajmienia.

Królowa spojrzała zdziwiona.

- Cóż to takiego?

- Wasza Wysokość uczyniła mi wielki zaszczyt zostając moją chrzestną matką - odparł markiz. - Chciałbym więc, aby Wasza Wysokość jako pierwsza dowiedziała się o moich zaręczynach.

Jeżeli zamierzał zaskoczyć królową, to z pewnością mu się udało. Jakby nie rozumiejąc, o czym mówi, otworzyła szeroko oczy i uniosła brwi.

- Zaręczynach? - jej głos był szorstki.

- Tak, i jestem pewien, że Wasza Wysokość zaaprobuje mój wybór.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym królowa zapytała:

- Kim ona jest?

- To córka diuka Cumberwortha, lady Lavinia Worth.

Znowu zaległa cisza. Markiz sądził, że królowa próbuje znaleźć powody, dla których mogłaby sprzeciwić się temu małżeństwu, ale zamiast tego niechętnie powiedziała:

- Muszę więc chyba pogratulować panu, markizie.

- Byłbym głęboko zawiedziony, gdyby Wasza Wysokość tego nie zrobiła.

- Słyszałam o remisie pańskiego konia z klaczą Cumberwortha w ostatniej gonitwie - dodała. - Nie sądziłam jednak, że wasze rodziny łączą tak bliskie stosunki.

- Nasze ziemskie posiadłości leżą obok siebie - markiz pośpieszył z wyjaśnieniem. - Moje małżeństwo z Lady Lavinia wydaje się więc dość rozsądne.

- Rozsądne! - wykrzyknęła królowa. - Myśli pan, markizie, że małżeństwo jest sprawą rozsądku?

- Tak, Wasza Wysokość.

Spojrzała na niego, a jej oczy miały teraz nieco łagodniejszy wyraz.

- Mogę mieć tylko nadzieję, drogi markizie, że pańskie małżeństwo okaże się równie szczęśliwe, jak moje. - Głos zadrżał jej delikatnie, jak zawsze, kiedy mówiła o swym zmarłym mężu, księciu Albercie.

- Ja również mam taką nadzieję - zabrzmiało to trochę ironicznie.

- Najwyższy czas, markizie, zmienić dotychczasowy styl życia - rzuciła ostro królowa. - Myślałam, oczywiście gdyby się pan ożenił, o mianowaniu pana namiestnikiem pańskiego hrabstwa. Jednak urząd ten wymagałby od pana nieskazitelnej reputacji, gdyż reprezentowałby pan, markizie, mnie!

- Byłby to dla mnie wielki zaszczyt, Wasza Wysokość - odparł. Mówiąc to, pomyślał, że był to kolejny sposób, aby zmusić go do ustatkowania się. Gdyby został namiestnikiem królowej, ciążyłaby na nim wielka odpowiedzialność, a to z

kolei oznaczałoby koniec przyjemności, do jakich przywykł w ciągu trzydziestu kawalerskich lat.

- Zastanowię się nad tym jeszcze, gdy już się pan ożeni - zaakcentowała słowo „gdy”.

Markiz skinął głową.

Jakby dalsza dyskusja była już tylko stratą czasu, królowa wyciągnęła w jego kierunku dłoń ze słowami:

- Do zobaczenia, markizie. Z niecierpliwością będę oczekiwała wiadomości o pańskim ślubie.

- To dla mnie wielki zaszczyt - pocałował ją w rękę i wolno skierował się w stronę drzwi.

Królowa nie patrzyła więcej na niego. Był pewien, że jej głowę zaprzętały teraz inne myśli. Skoro on sam był już nieosiągalny, musiała znaleźć innego kandydata na męża dla księżniczki Grety.

W poczekalni czekał na niego ten sam aide - de - Camp, który go tu wcześniej przyprowadził.

- Pańska audiencja była bardzo krótka, milordzie - zauważył.

Wydawał się być bardzo zainteresowany jej rezultatem, więc markiz powiedział:

- Trwała jednak wystarczająco długo, abym zdążył podzielić się z królową dobrymi wiadomościami.

Na twarzy dworzanina pojawił się wyraz szczerego zaskoczenia, a markiz, unikając dalszej rozmowy, odszedł.

Ponieważ odprowadzanie gości należało do jego dworskich obowiązków, pośpieszył za oddalającym się markizem. Idąc już obok siebie, nie rozmawiali, aż dotarli do frontowych drzwi prowadzących na dziedziniec.

Bryczka stała na zewnątrz. Konie, zgodnie z wcześniejszymi poleceniami, zostały zmienione.

Markiz wyciągnął rękę.

- Do widzenia - zwrócił się do aide - de - Camp. - I dziękuję za opiekę nade mną.

Kiedy odjeżdżał, mężczyzna stał w drzwiach, najwyraźniej mocno poirytowany.

Markiz poczuł dziwny rodzaj satysfakcji, że nie zaspokoił ciekawości tego człowieka, który tak bardzo chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiał z królową.

Zaraz jednak jego myśli pobiegły innym torem. Zdał sobie sprawę, że właśnie otwiera się zupełnie nowy rozdział jego życia. Wstąpił na drogę, która doprowadzi go jedynie do wielkiego rozczarowania. Jej kres oznaczał dla niego niewysłowioną nudę.

ROZDZIAŁ 3

Ila jechała między drzewami, myśląc, że były one jeszcze bardziej tajemnicze niż zazwyczaj. Uwielbiała wiosnę. Drzewa pokryte były wtedy drobnymi, zielonymi listeczkami, a pierwsze pierwiosnki i fiołki pojawiały się wśród mchu.

W rzeczywistości jednak kochała las niezależnie od pory roku. Był dla niej zawsze piękny i stanowił wspaniałe tło dla jej marzeń i myśli. Już jako dziecko tęskniła do niego w chwilach smutku i radości. Witał ją, a ptaki, króliki, wiewiórki i inne leśne zwierzęta były jej bliższe niż przyjaciele. Wiatr szumiący między gałązkami i brzęczenie pszczoł brzmiały dla niej jak najwspanialsza muzyka.

Dziś czuła się wyjątkowo szczęśliwa, choć nie miała ku temu żadnych szczególnych powodów. Pragnęła jechać na skraj lasu, gdzie wśród promieni słonecznych mogła oddychać pełnią życia. Wiedziała jednak, że w domu będą się niepokoić, jeśli nie wróci na czas. Z niechęcią więc zawróciła.

Na przejażdżkę konno wybrała Swallowa, którego dostała kiedy był jeszcze źrebięciem. Kochała go bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zdawało się, że rozumie każde jej słowo, a gdy byli sami w lesie, czuła, że słyszał to samo, co i ona: gnomy pracujące w grotach pod drzewami, nimfy pływające w stawach i wróżki skaczące z kwiatka na kwiatek niczym motyle.

Ila była młodsza od swych sióstr, zawsze więc żyła we własnym świecie. Był to świat, w którym królowało piękno i dobro, a rycerze w błyszczących zbrojach walczyli, aby obronić biednych ludzi.

Prawdziwe imię, jakie otrzymała na chrzcie brzmiało Lavinia. Gdy była mała, matka często prosiła, aby powiedziała:

- Jestem Lavinia! Dziewczynka starała się ze wszystkich sił, ale wymówienie własnego imienia było wtedy dla niej trudne.

- I...la.

- Spróbuj znowu - nalegała matka.

- I...la, I...la, I...la - powtarzała ciągle.

W końcu te trzy litery złączyły się w jedno słowo i powstało urocze zdrobnienie: Ila. Nawet jej siostry zaczęły ją tak nazywać, co spotkało się z ostrym sprzeciwem diuka.

- Nie pozwolę, aby zwracano się w ten sposób do członków mojej rodziny - powiedział ostro. - To imię brzmi tak samo pospolicie, jak Billie, Jimie, Kittie czy Bennie.

Ponieważ ich chłopiec stajenny miał na imię właśnie Bennie, wszyscy głośno się roześmiali.

Diuk upierał się, aby do jego najmłodszej córki zwracano się „Lavinio”, jednak dziewczynka nadal nazywała siebie Ila.

Jeżeli o jej siostrach mówiono, że są ładne, to ona była niewątpliwie śliczna. Szczupła i niezbyt wysoka, miała bardzo delikatną twarz, szczególną zaś uwagę zwracały jej oczy koloru zielonych liści, gdzieniegdzie nakrapianych złotem słońca. Były bardzo duże i mądre, zdawały się wyrażać jakąś tajemnicę skrywaną na dnie serca.

Ila ubrana była w strój do konnej jazdy, nie włożyła jednak kapelusza, więc jej długie włosy powiewały swobodnie na wietrze. Miały dość osobliwy kolor zachodzącego słońca, który jeden ze sławnych malarzy, Botticelli, uwiecznił na kilku swoich obrazach. Każdy, kto raz spojrział na jej włosy, musiał to zrobić ponownie, tyle w nich było nadzwyczajnego blasku.

Ale Ila była całkowicie nieświadoma swojego uroku. Nie zdawała sobie sprawy z piękna swoich włosów, a kiedy zerknęła do lusterka, to tylko po to, by sprawdzić, czy są

porządnie ułożone. W przeciwnym razie dostawała naganę od ojca, który był bardzo krytyczny, jeśli chodziło o jego dzieci.

Jej obie siostry, Phyllis i Clementine, wyszły już za mąż, Ila mieszkała więc w Worth Castle jedynie z ojcem. Od śmierci żony stał się jeszcze bardziej apodyktyczny niż kiedykolwiek przedtem. Rozumiała, że chciał zachować autorytet, a poza nią nie było już nikogo, kto okazywałby mu posłuszeństwo.

Ostatni rok był dla niej wyjątkowo spokojny. Nie była wcale zmartwiona, że ojciec większość czasu spędzał na wyścigach i licznych zawodach. Pod koniec miesiąca jednak kończyła żałobę po matce, stała się też wystarczająco dorosła, aby rozpocząć jako debiutantka swój pierwszy sezon towarzyski. Ciotka, hrabina Doncaster, miała ją wprowadzić w świat.

Na tę okazję ojciec odnowił ich stary dom w Londynie. Zaplanował też wydanie małego przyjęcia w czerwcu, w lipcu zaś przewidywał urządzenie prawdziwego balu.

Ila była bardzo podekscytowana perspektywą nowych strojów i możliwością poznania ciekawych ludzi. Przyjaciele jej ojca interesowali się jedynie końmi. Mimo że Ila kochała konie, uważała, że rozmowy z politykami, artystami czy muzykami mogą otworzyć przed nią nowy, nieznany dotąd świat. Najbardziej chciała spotkać ludzi, których fascynowała historia, gdyż mogłaby zapytać ich o wiele spraw, których nie знаła, a chciałyby poznać.

W Worth Castle znajdowała się ogromna biblioteka, ale nikt poza Ilą nie sięgał po znajdujące się tam książki. Czytanie o zamierzonych czasach tylko jej sprawiało prawdziwą przyjemność. Drugą pasję stanowiły książki podróżnicze. Wraz z ich bohaterami odbywała długie podróże dookoła świata, wspinała się na szczyty Himalajów i żeglowała w górę

Nilu. Szczególne wrażenie wywarła na niej książka opisująca pielgrzymkę do Mekki.

Pewnego razu, czytając o mężczyźnie, który w przebraniu dotarł do Tybetu, i któremu udało się nawet zobaczyć dalajlamę, westchnęła:

- Gdybym była chłopcem, też mogłabym podróżować.

Wiedziała, że jej ojciec był bardzo rozczarowany, że nie miał syna. Jako mała dziewczynka często płakała, gdy traktował ją bardziej szorstko niż siostry. Matka tuliła ją wtedy mocno i tłumaczyła:

- Musisz zrozumieć, kochanie, że, kiedy przyszedł na świat, tata bardzo chciał mieć syna i był nami rozczarowany.

- Dlaczego, mamusiu?

- Ponieważ postanowił, że jego trzecie dziecko to będzie syn i spadkobierca. To znaczyło dla niego bardzo wiele.

- Czy tatuś mnie nie kocha? - pytała Ila.

- Oczywiście, że cię kocha - odpowiadała matka. - Tylko bardzo pragnął mieć chłopca, który jeździłby z nim konno i brał udział w polowaniach.

Westchnęła i mówiła dalej:

- Mógłby towarzyszyć mu w czasie wyścigów konnych, a po jego śmierci zająłby miejsce w Izbie Lordów.

Kiedy dorosła, zrozumiała, jakie znaczenie dla ojca miał syn. Rodowy tytuł w razie nie posiadania męskiego potomka będzie musiał przypaść jakiemuś siostrzeńcowi, którego diuk nigdy nie lubił. On zresztą wolał mieszkać za granicą niż w Londynie.

Ponieważ Ila kochała ojca, zdarzało jej się czasami okazywać swoje uczucia w sposób bardziej ostentacyjny, niż tego chciała. Wiedziała, iż był zadowolony, że wyrosła na tak piękną kobietę i z niecierpliwością czekał na jej sukces towarzyski.

- To będzie bardzo interesujące - powiedziała głośno do Swallowa - ale będę tęskniła za naszymi rannymi przejażdżkami, chociaż często będziemy przyjeżdżać do domu, aby tata mógł doglądać swoich klaczy, a zwłaszcza Ladybird.

Gdy poprzedniego wieczoru ojciec wrócił do domu po skończonych wyścigach, zwołał wszystkich stajennych i opowiedział im o sukcesie Ladybird. Potem kazał przynieść beczkę piwa, aby mogli wypić za następne zwycięstwa.

W czasie ich wspólnej kolacji nie mówił o niczym innym. Zanim poszła spać, ucałowała go i powtórzyła po raz kolejny:

- Tak się cieszę, tatusiu, ze zwycięstwa Ladybird, bo wiem, jak wielką radość ci to sprawiło.

- Ladybird wywołała sensację, która nie zostanie zapomniana jeszcze długo! - odparł diuk. - I tak samo będzie z tobą, kochanie.

Pocałował ją w policzek, a potem dodał:

- Chcę, aby każdy mężczyzna podziwiał cię, i szczerze wierzę, że tak właśnie będzie.

Ila roześmiała się.

- Jesteś zbyt ambitny, tato! Postaram się nie zawieść cię, ale nie oczekuj ode mnie aż tak wiele.

- Nie zawiedziesz mnie - powiedział z przekonaniem diuk. - Jesteś dużo ładniejsza niż twoje siostry, a kiedy one zostały przedstawione na dworze królewskim, ich uroda przyćmiła pozostałe debutantki.

- Pozostaje mi mieć nadzieję, że dopisze mi takie samo szczęście, jak Ladybird.

Poszła na górę, do swojej sypialni.

Dopiero, kiedy była już w łóżku zaczęła zastanawiać się, czy naprawdę zależy jej na tym, aby wywołać tak wielką sensację. Wydało jej się to nawet trochę przerażające.

Szczeńliwsza czułaby się chyba w lesie, słuchając szumu wiatru. Zaraz jednak westchnęła:

- Nie wolno mi rozczarować taty - powiedziała do siebie.
- Nawet, jeśli mam wrażenie, jakby wystawiał mnie w gonitwie, w której chce odnieść zwycięstwo.

Teraz, jadąc z powrotem do zamku, pomyślała, że ojciec może być zły, że nie zjadła razem z nim śniadania i sam musiał odbyć swój poranny przegląd stajni.

Wyjechawszy z lasu, puściła Swallowa wolno. Pogalopował po płaskim terenie aż do parku, gdzie musiał nieco zwolnić z powodu dziur wykopanych pod dębami przez króliki.

Ila zajechała przed dom, a Bennie, chłopiec stajenny wyszedł jej naprzeciw, aby zaprowadzić konia do stajni.

- Udana przejażdżka, panienko? - zapytał.

- Było wspaniale - odparła swoim melodyjnym głosem.

Poklepała konia, który się nieco ociągał, odwracając głowę w stronę swojej pani, a kiedy Bennie zabrał go w końcu, pobiegła w kierunku bocznych drzwi zamkowych.

Przyspieszyła kroku idąc korytarzem i wchodziła właśnie do jadalni, gdy ojciec wyszedł z gabinetu.

- Jesteś nareszcie! - wykrzyknął. - Spóźniłaś się.

- Wiem, tato, i bardzo mi przykro. Pojechałam dzisiaj dalej, niż zamierzałam.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, córeczko.

- A czy moglibyśmy zrobić to po śniadaniu? Jestem bardzo głodna.

- To, co chcę ci powiedzieć, nie może czekać. Spojrzała na niego trochę wystraszona, ale zauważyła, że się uśmiecha. Cokolwiek to było, musiało być dla niego bardzo przyjemne.

Ila poszła za ojcem do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi. Próbowwała ręką poprawić włosy, bo wiedziała, że są bardzo potargane od wiatru.

Diuk stanął przy kominku.

- Mam dla ciebie wiadomość, Lavinio. Jest to dobra wiadomość - dodał.

- O co chodzi?

- Dziś rano odwiedził mnie markiz Rakemoore. Jej oczy zabłyśły.

- Czy zgodził się, aby jego ogier krył nasze klacze? Wiedziała, że ojciec czekał na to od dawna.

- Tak - odpowiedział diuk z satysfakcją w głosie

- ale oprócz tego poprosił mnie o twoją rękę. Ila zamarła w bezruchu.

- Markiz chce się z tobą ożenić. Jestem bardzo szczęśliwy. Oczywiście zgodziłem się i wyraziłem radość, że zostanie moim zięciem.

Była jak martwa. To, co właśnie usłyszała, było dla niej takim szokiem, że przez moment nie była w stanie jasno myśleć.

Diuk nie zwrócił jednak na to najmniejszej uwagi i dalej ciągnął triumfująco:

- Rakemoore jest nie tylko jednym z najzamożniejszych ludzi w kraju, ale także wielkim sportowcem.

Uśmiechnął się.

- Kiedy wczoraj Ladybird dobiegła do mety razem z Trumpeterem, pomyślałem, że nic nie przyniesie nam większych korzyści niż twoje małżeństwo z markizem.

Ila z wysiłkiem zdołała wreszcie wydobyć z siebie głos.

- Ale... tato... ja go nawet nigdy nie... widziałam.

- Jutro markiz złoży ci wizytę - odparł diuk.

- A potem wasze zaręczyny zostaną oficjalnie ogłoszone w The Gazette.

Na chwilę umilkł, zaraz jednak dodał:

- Będiesz miała dużą satysfakcję, kochanie, bo osiągnęłaś coś, czego nie udało się dotąd innym kobietom.

- Ale... tato... - powiedziała Ila cichym głosem - nie chcę teraz wychodzić za mąż za nikogo, tym bardziej za kogoś, kogo nigdy przedtem nie widziałam!

- Jakie to ma znaczenie, czy widziałas go czy nie? - zapytał poirytowany diuk. - Przecież mieszka niedaleko nas, słyszałaś więc o nim.

- Tak, oczywiście, słyszałam o... nim - zgodziła się Ila.

Mówiąc to, zastanawiała się, co rzeczywiście o nim wiedziała. Niczym nie mógł jej zaimponować poza miłością do koni. Ojciec wiele jej opowiadał o człowieku, którego konie odnosiły zwycięstwa w niemal wszystkich gonitwach. Mówili też o nim ludzie w sąsiedztwie, włączając w to służbę. Bardzo wielu służących w zamku miało krewnych na służbie u markiza, więc to, co wydarzyło się w Rake, wcześniej czy później, stawało się przedmiotem plotek.

Ila nie interesowała się plotkami i nigdy nie miała okazji spotkać markiza. Nie jeździł z ojcem na polowania ani nie brał udziału w zwykłych zawodach w hrabstwie, którym patronowali jej rodzice. Był dla niej jedynie człowiekiem, z którym sąsiadowały ich ziemskie posiadłości.

Ale, kiedy jeszcze była małym dzieckiem, zawsze słyszała, co o nim mówiono. Pierwszy raz, gdy jej niania plotkowała razem z gospodynią. Ze sposobu, w jaki przerwały widząc ją, wywnioskowała, że rozmawiały o tym, co niedawno zrobił. Było to uważane za skandaliczne i miało chyba związek z przyjęciem wydanym w Rake. Miała niejasne wrażenie, że z jego osobą wiązano wiele kobiet. Kiedy szeptało ich imiona, niektóre z nich brzmiały jej dziwnie znajomo. Inne wypowiedane były w taki sposób, że dopiero, gdy dorosła, zrozumiała, iż chodziło o aktorki lub kobiety o kiepskiej reputacji. Mówiono też, że powinien ożenić się z jedną z jej sióstr.

Teraz, po tym, co usłyszała, miała uczucie, jakby ktoś zadał jej cios w głowę. Patrzyła w milczeniu na ojca, próbując zebrać myśli.

- To moja szczęśliwa passa - powiedział diuk. - Najpierw Ladybird, a teraz ty. Udało mi się osiągnąć więcej, niż mogłem przypuszczać.

Zatarł ręce, wyrażając tym swoje ogromne zadowolenie.

Ila spróbowała zmierzyć się z rzeczywistością.

- Przykro mi... tato - zaczęła. - Nie chcę wychodzić za... markiza Rakemoore. I... odmówię mu... kiedy tu jutro przyjedzie.

- Co zrobisz? - spytał diuk.

Był tak zdumiony, że nie podniósł nawet głosu. Dopiero, gdy jej słowa do mego dotarły, wykrzyknął:

- Musisz być chyba niespełna rozumu. Oczywiście, że wyjdiesz za markiza Rakemoore! Na kolanach powinnaś dziękować Bogu za to, iż pozwolił ci dostać najlepszą partię w kraju.

- Ale... tato, jeśli wyjdę za mąż, chcę to zrobić z miłości!

- Miłość! Miłość! O tym tylko myślą kobiety. Miłość przyjdzie po ślubie.

Przerwał na chwilę.

- Wiele kobiet oddało mu swe serce i mogę się założyć, że z tobą będzie tak samo.

- Dobrze, spotkam się z nim, ale nie obiecuję mu nic, dopóki go dobrze nie poznam i, być może,... i wtedy nie!

Diuk stracił cierpliwość.

- Ty głupie dziecko! - krzyczał. - Czy nie rozumiesz, że z takim człowiekiem nie można bawić się w chowanego.

W jego głosie wyraźnie brzmiał nie skrywany gniew.

- Przyjmiesz szybko jego oświadczenia na wypadek, gdyby się rozmyślił, a ja dla tej samej przyczyny równie szybko poprowadzę cię do ołtarza.

Jego twarz miała teraz purpurowy kolor, a głos odbijał się echem po pokoju.

- Przykro... mi... tato.

- Jeżeli usłyszę jeszcze coś tak głupiego - nie dał jej dojść do słowa - będę bił cię tak długo, aż wybije ci z głowy wszystkie głupstwa.

Zabrzmiało to strasznie i Ila instynktownie cofnęła się. Była bardzo zdumiona, bo ojciec nie podniósł nigdy nawet ręki na żadną ze swoich córek.

Nie mogąc się opanować, ciągnął dalej głosem pełnym furii:

- Chcę widzieć Rakemoore'a w roli mojego zięcia! Chcę, aby jego koń krył moje klacze! I niech mnie diabli, jeśli pozwolę ci odwracać się od człowieka, którego każda debiutantka chciałaby poślubić.

Ila próbowała coś powiedzieć, ale nie pozwolił jej.

- Nie masz tu nic do gadania. Wyjdiesz za niego tak szybko, jak tylko to będzie możliwe, nawet gdybym musiał nieprzytomną zaciągnąć cię do ołtarza. Zrozumiałaś? I nie waż mi się sprzeciwić!

Nie odpowiedziała. Odwróciła się i wybiegła z pokoju, zostawiając ojca i nie słuchając tego, co mówił sam do siebie.

Wbiegła na górę do sypialni, zamknęła drzwi i rzuciła się na łóżko. Drżąc na całym ciele, nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Wiedziała, że jeśli uparł się, żeby poślubiła markiza, nie było takiej siły, która mogłaby go zmusić do zmiany decyzji. Był bardzo upartym człowiekiem i czasami nawet matka, którą bardzo kochał, miała trudności, aby postawić na swoim. W wielu wypadkach to właśnie ona musiała ustępować.

- Jak mam go przekonać - łkała Ila - że nie mogę wyjść za markiza?

Była świadoma, jakie znaczenie miał dla ojca ten ślub. Zawsze zazdrościł markizowi jego koni. Każdy nowy nabytek do stajni w Rake, odbijał się szerokim echem w całym hrabstwie. To Rakemoore oferował najwyższe ceny na aukcjach koni w Tattersall's Salesrooms. On kupował najlepsze ogiery od swoich przyjaciół, zanim ktokolwiek wiedział, że były wystawione na sprzedaż. A we wszystkich gonitwach, w których także diuk brał udział, jego konie pierwsze dobiegały do mety.

Serce Ili uspokoiło się nieco, przestała też drżeć na całym ciele. Zdawała sobie sprawę, że dla ojca markiz był bardzo pożądany jako pretendent do jej ręki, wiedziała też, że diuk zrobi wszystko, aby doprowadzić do ślubu, niezależnie od tego, jakim człowiekiem był naprawdę jej przyszły mąż.

Jednak, jeśli chciała być ze sobą do końca szczerą, musiała przyznać, że z pewnością był lepszy niż mężowie jej sióstr. Sama myśl o ich nieszczęśliwym życiu spowodowała, że do oczu Ili napłynęły łzy.

Nieszczęście dotknęło najpierw Phyllis. W wieku siedemnastu lat zakochała się w młodym dziedzicu, który mieszkał niedaleko ich zamku. Pochodził ze starej, szanowanej rodziny posiadającej dość ładny dom i niewielkie majątki ziemskie. Młodzi znali się od dzieciństwa i często spotykali się na polowaniach organizowanych przez obie rodziny. Ale zanim Phyllis zdążyła porozmawiać z ojcem, wydarzyło się nieszczęście.

Pojechała do Londynu, aby w Pałacu Buckingham zostać przedstawioną królowej, a następnie udała się na swój pierwszy bal. Na balu spotkała diuka Northumbrii. Był to ponad czterdziestoletni wdowiec, szukający młodej i atrakcyjnej żony, która mogła dać mu dziedzica. Zanim zorientowała się, co się dzieje, ojciec zgodził się oddać jej

rękę diukowi. Wszystko zostało ustalone, a Phyllis nie mogła nawet wrócić na wieś, aby opowiedzieć o tym Geoffrey'owi.

Ona i jej przyszły mąż stanowili wyjątkowo niedobraną parę.

Była w rozpacz i musiała się przed kimś wyzalić, a Ila, mimo że miała wtedy zaledwie piętnaście lat i niewiele z tego rozumiała, była jedyną osobą, z którą mogła porozmawiać, gdyż Clementine przebywała w szkole z internatem. Siadała na łóżku swojej młodszej siostry i, płacząc, powtarzała:

- Jak mogę poślubić tego starego człowieka, skoro kocham Geoffrey'a? Tak bardzo go kocham! Och, Ila, co ja mam zrobić?

Próbowała rozmawiać z rodzicami, ale oboje byli nieugięci i uważali, że zapewniają swej córce najlepszą, jaką można sobie wyobrazić, przyszłość.

Niewątpliwie mieli rację w tym, co miało związek z pozycją towarzyską ich dziecka.

- Zostaniesz księżną, jak twoja matka - mówił ojciec. - Chociaż wiedziałem, że jesteś ładna i możesz poślubić kogoś z wysoką pozycją, nie przypuszczałem, że uda ci się zrobić taką wspaniałą partię.

- To nie jest żadna dobra partia - żaliła się Phyllis. - Diuk jest stary i napuszony, a kiedy próbuje mnie pocałować, mam ochotę krzyczeć.

Ale nie mogła nic zrobić.

Pewnej nocy Ila pomogła jej wymknąć się z zamku na ostatnie spotkanie z Geoffrey'em. Wróciła nad ranem, tak przygnębiona i słaba, że nie była w stanie sama dojść do łóżka.

Została księżną Northumbrii w wiejskim kościółku, gdzie wszystkie trzy siostry były chrzczone. Obdarowano ją tak drogimi prezentami, jakby wychodziła za kogoś z mniejszą

pozycją. Ludzie zebrani na uroczystości gratulowali jej wielkiego szczęścia.

Diuk zabrał swoją żonę na północ Anglii i Ila nie widziała siostry przez rok.

Przyjechała do rodzinnego domu na kilka dni, kiedy jej mąż miał do załatwienia parę spraw w Londynie. W niczym nie przypominała dawnej Phyllis. Nie umiała się już śmiać, a w jej głosie pojawiła się gorycz, której Ila nigdy wcześniej nie słyszała.

- Czy jesteś szczęśliwa, Phyllis? - spytała, gdy były same.

- Nie chcę o tym mówić - odparła martwym tonem. - Czy widzisz Geoffrey'a?

- Spotyka się ze mną w czasie konnych przejażdżek, aby dowiedzieć się, czy są od ciebie jakieś wiadomości.

Phyllis nie przerywała, a ona mówiła dalej:

- Gdybyś chciała napisać do niego albo przekazać mu...

Potrząsnęła głową.

- Jaki to ma sens?

Ila położyła dłoń na głowie siostry.

- Bardzo ci współczuję, kochanie - wyszeptwała.

- Ja też sobie współczuję. I swojemu mężowi

- dodała.

Ila wiedziała, dlaczego.

- Nie spodziewasz się dziecka?

- Nic na to nie wskazuje - odparła Phyllis - i myślę, że on zaczyna mnie nienawidzić, ponieważ nie dałam mu tego, co chciał.

Kilka dni później wróciła na północ.

Następnego roku, Phyllis wydała na świat córkę. Ila nie widziała dziecka, ale słyszała, że było bardzo słabe, podobnie jak jej siostra, która znacznie podupadła na zdrowiu po długim połogu. Było prawdopodobne, że już nigdy nie będzie mogła

mieć więcej dzieci. Diuk był nią teraz jeszcze bardziej rozczarowany.

Clementine wyszła za mąż na rok przed śmiercią matki.

Odnosiła bardzo duże sukcesy w ciągu pierwszych dwóch miesięcy sezonu towarzyskiego. Otrzymała pół tuzina propozycji małżeńskich od młodych mężczyzn, ale żaden nie był w oczach ojca odpowiednim kandydatem na jej męża.

- Nie kocham ani jednego z nich, powiedziała kiedyś Clementine - więc nie robi mi różnicy, że tata odsyła ich, jak sam to nazywa, z „podwiniętymi ogonami”.

Roześmiała się.

- Mam jednak wrażenie, jakby oświadczyli się nie mnie, ale jemu. Tata zdaje się nie rozumieć, że to właśnie ja mam wyjść za mąż.

- Może zakochasz się w kimś, kogo tata zaakceptuje - miała nadzieję Ila.

- Nie chciałabym wyjść za kogoś tak starego, jak mąż Phyllis.

Książę rzeczywiście okazał się nie tak stary jak diuk Northumbrii, ale równie nadęty i dumny ze swojego tytułu. Był spadkobiercą małego księstwa w północnej części Niemiec. Ila poczuła do niego niechęć już podczas pierwszego spotkania. Jasno dał do zrozumienia, że skoro wyznał swoją miłość i podziw dla Clementine, to tym samym okazał jej swoją wielką łaskawość. Była przecież tylko angielską dziewczyną, w której żyłach nie płynęła nawet królewska krew.

- Nie chcę za niego wychodzić, tato - protestowała Clementine.

Diuk próbował przekonać córkę, że trafiła się jej naprawdę dobra partia. Mimo że księstwo przyszłego męża było małe, a on sam nie miał wielkiego znaczenia wśród koronowanych głów Europy, to ona będzie traktowana jak prawdziwa

księżniczka, a kiedyś na pewno zostanie wielką księżną tego niewielkiego, skalistego państewka.

Clementine przyjechała w zeszłym roku na pogrzeb matki. Została w zamku tylko dwie noce, ale Ili udało się porozmawiać z siostrą na osobności.

- Czy jesteś szczęśliwa? - spytała.

- Szczęśliwa? - powtórzyła Clementine ponuro. - Jak mogę być szczęśliwa między tymi wszystkimi Niemcami, którzy zdają się nie robić nic innego, jak tylko jeść i gadać.

- Jest aż tak źle?

- Nawet gorzej.

- Ale przecież masz syna - upierała się Ila, myśląc o biednej Phyllis, która rozczarowała swojego męża wydając na świat dziewczynkę.

- Tak, mam syna - odparła Clementine - ale nie wolno mi wychowywać go tak, jak bym chciała.

Westchnęła i mówiła dalej:

- Jest otoczony przez opiekunki, które mówią mi nawet, kiedy wolno mi go zobaczyć. Ich zdaniem, moje metody wychowawcze są zbyt angielskie.

- Brzmi to okropnie - powiedziała Ila ze współczuciem.

- Bo tak jest. Co więcej, większość czasu spędzam w towarzystwie starszych kobiet zajmujących się jedynie plotkami. Oczekują ode mnie udziału w ich nie kończących się spotkaniach, w czasie których dzielą się wszystkimi nowinkami.

- Ale twój mąż z pewnością cię kocha. Clementine wzruszyła ramionami.

- Jest ze mnie dumny, ponieważ wszyscy mówią, że jestem ładna. Często zastanawiam się, co by się stało, gdybym taka nie była.

- Mogę się założyć, kochanie, że jest lepiej, niż mówisz! - wykrzyknęła nerwowo Ila.

- Może być tylko gorzej - przytuliła siostrę, - Posłuchaj mnie, nie wolno ci poślubić nikogo, kogo nie będziesz kochała. Widziałaś, co stało się z Phyllis, a to samo dzieje się ze mną. Teraz, kiedy mama nie żyje, musisz postarać się, aby tata był bardziej wrażliwy. Gdybym wiedziała, jakie będzie moje małżeństwo, wołałabym utopić się w Tamizie, niż wychodzić za Ottona.

Po pogrzebie Clementine wróciła do Niemiec. Nadal była bardzo piękna, ale uśmiech na zawsze zniknął z jej twarzy.

Leżąc na łóżku, Ila dotknęła dłonią policzka.

- Jeśli zgodzę się na to, czego chce tata - powiedziała głośno - będę cierpieła tak samo, jak moje siostry.

Przez resztę dnia Ila żarliwie modliła się do swojej matki o opiekę.

Matka była bardzo nieszczęśliwa z powody Phyllis, ale nawet ona nie potrafiła przekonać męża, że diuk, niezależnie od wieku, nie był odpowiednim mężem dla ich córki. Wiedziała także, że małżeństwo Clementine nie będzie udane, ale i tym razem ojciec uparł się, aby jego córka poślubiła kogoś, kto posiadał tytuł. Oczywiście, biorąc pod uwagę pozycję społeczną księcia, była to znakomita partia, ale wszystkie te przywileje nie umniejszyły nieszczęścia jej córki.

- Nie wyjdę za markiza! - powtarzała Ila. Usłyszała własny głos i pomyślała, że zabrzmiał jakoś słabo i lękliwie.

Wyobraziła sobie przejażdżkę na swoim ukochanym koniu, szukając radości, jaką czuła rano, zanim usłyszała o planach ojca.

- Co mam robić? - pytanie zdawało się odbijać echem w jej głowie.

Wydawało jej się, że jest w lesie i zadaje je zwierzętom. Jechała konno tak długo, aż dotarła do stawu, na którego dnie mieszkały nimfy. W nocy, kiedy na niebie świecił księżyc, wychodziły, aby tańczyć w jego blasku.

I znów Ila szeptała:

- Co mam robić? Co mam robić?

Teraz rozmawiała z matką. Była małą dziewczynką, a matka tuliła ją w ramionach.

- Pomóż mi, mamo - błagała.

Nie była pewna, kto w końcu odpowiedział na jej pytanie. Powinna uciekać. Rozwiązanie było tak proste, że nie nasuwało żadnych wątpliwości. Musiała tylko obmyśleć dokładny plan ucieczki i zacząć się do tego przygotowywać.

W porze lunchu zeszła na dół i z wielkim zadowoleniem stwierdziła, że ojciec był zajęty rozmową z dwojgiem przyjaciół, którzy poprzedniego dnia byli z nim na wyścigach. Zaprosił ich na następny dzień, aby obejrzeni jego konie.

Wizyta markiza tak go ucieszyła, że musiał zupełnie o tym zapomnieć, pomyślała Ila.

Na szczęście, po powrocie z Epsom poinformował o tym lokaja i lunch był dla gości przygotowany.

Mężczyźni, obaj w wieku ojca, byli właścicielami ziemskimi z różnych stron kraju. Kiedy skończyli rozmowy na temat koni, zaczęli prawić Ili komplementy. Jej uroda zrobiła na nich duże wrażenie, z przyjemnością też patrzyli, jak radzi sobie z obowiązkami pani domu, zastępując swą zmarłą matkę.

- Twoja córka podbija serca wszystkich młodych mężczyzn w Londynie - powiedział jeden z nich, gdy opuszczała pokój.

Obawiając się, jak ojciec może na to zareagować, postanowiła podsłuchać jego odpowiedź. Wiedziała, że bardzo chciał się pochwalić propozycją markiza, ale nie sądziła, aby już teraz wyjawiał plany dotyczące małżeństwa.

- Dziękuję - odparł diuk. - Mam nadzieję, że Lavinia, zgodnie z tym, co powiedziałaś, odniesie sukces, ale mogę

was zapewnić, że poślubi tylko kogoś naprawdę odpowiedniego.

- Biorąc to pod uwagę - zauważył drugi z mężczyzn - należy żałować, że księżę Walii ma już żonę. A może masz ochotę widzieć samego anioła Gabriela w roli zięcia?

W pokoju rozległ się śmiech i Ila odeszła od drzwi.

Była wdzięczna ojcu, że nie powiedział im o markizie. Byłoby to dosyć niezręczne, gdyby musiał potem cofać swoje słowa.

Całe popołudnie myślała o tym, co zamierza zrobić, aż w końcu wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Jutro, w porze lunchu ojciec będzie cierpliwie czekał na markiza. Do tego czasu ona musi już być wystarczająco daleko, aby nie mogli jej znaleźć.

Gdy nie była pochłonięta marzeniami, potrafiła myśleć bardzo rozsądnie. Wiedziała, że najważniejsze były pieniądze. Wiązały się z tym pewne kłopoty, ponieważ rzadko robiła sama zakupy, a zatem nie miała zbyt wiele własnych funduszy. Ojciec dawał jej, podobnie jak siostrze, pięćdziesiąt funtów rocznie. Pieniądze te przeznaczała na napiwki dla służby, datki w kościele i drobne zakupy u wędrownych handlarzy, którzy raz w tygodniu przyjeżdżali do zamku. Na ich wozach piętrzyły się wstążki, guziki, szpilki i mnóstwo innych towarów, stanowiących przedmiot zachwyty dla służby.

Sumę pięćdziesięciu funtów ojciec płacił córkom w miesięcznych ratach. Ponieważ Ila nosiła żałobę, jej oszczędności z ostatnich czterech miesięcy leżały prawie nietknięte. Niewielką część pieniędzy ofiarowała na cele dobroczynne w czasie niedzielnych nabożeństw. Potrzebowała jednak znacznie więcej, gdyż prawdopodobnie będzie musiała pozostać z dala od domu, do czasu, aż markiz ożeni się z kimś innym.

Miała też trochę własnej biżuterii, którą otrzymała w prezencie na święta i urodziny. Mogła zabrać ze sobą kilka kosztownych drobiazgów, chociaż wątpiła, by sprzedając je na wsi, dostała za nie dużo pieniędzy.

Ila nie zamierzała jechać do Londynu, ponieważ wiedziała, że duże miasto było zbyt niebezpieczne dla samotnej dziewczyny w jej wieku. Postanowiła znaleźć jakąś małą wioskę, gdzie, nieznana nikomu, zamieszkałaby w spokoju. Zajęłaby się szyciem, a gdyby dopisało jej szczęście, dostałaby posadę nauczycielki w miejscowej szkole. Mogła również zaopiekować się dziećmi, których matki w czasie żniw zajęte będą pracą w polu.

Różne myśli przebiegały jej przez głowę, ale jedno wiedziała na pewno: musi uciekać. Zaczęła wybierać rzeczy, które powinna ze sobą zabrać. Nagle natknęła się na coś, o czym już dawno zapomniała. Był to naszyjnik, prezent od chrzestnego ojca na siedemnaste urodziny. Starszy mężczyzna, każdego roku, począwszy od dnia jej narodzin, zbierał suwereny i przyczepił je później do złotego łańcuszka, który w tej chwili trzymała w dłoniach. Matka uważała, że naszyjnik jest pospolity, i Ila nigdy go nie nosiła. Teraz jednak mogła zrobić użytek z monet, należało je tylko odczepić. Przyszło jej do głowy, że matka nieświadomie przygotowała ją do tej ucieczki.

Wyjęła z szafy trzy suknie, dwie nocne koszule, pończochy oraz kilka innych drobiazgów i zawinęła to wszystko w szal. Na siebie zdecydowała się włożyć strój do konnej jazdy.

- Jeżeli nie wrócę do domu przed zimą, będę musiała nosić go każdego dnia - pomyślała.

Nie mogła zabrać nic więcej. Postanowiła, że w pierwszej fazie podróży tobolek poniesie Swallow, przez resztę drogi będzie musiała robić to sama.

Zanim zeszła na dół na kolację, ukryła bagaż na dnie szafy. Zapakowała jeszcze muślinową bluzkę, która doskonale pasowała do stroju do konnej jazdy.

Kiedy pojawiła się w jadalni ubrana w jedną ze swoich najładniejszych sukienek, zauważyła zdziwienie na twarzy ojca, który obawiał się, że znowu wybuchnie kłótnia.

Ila zapytała, czy gościom podobały się konie. Z radością odparł, że zamierza im sprzedać dwa młode źrebaki, które niedawno się urodziły i jednego jednolatka. Co więcej, byli oni gotowi zapłacić znacznie wyższą cenę niż dotychczasowi nabywcy.

- Znakomicie poradziłeś sobie z nimi, tato - pochwaliła go - ale musisz uważać, aby nie sprzedać konia, który może okazać się kolejną Ladybird.

- Zaufaj mi - uśmiechnął się diuk. - Z drugiej strony, być może teraz, po jej sukcesie, będę miał więcej takich klientów.

- Mam taką nadzieję.

Gdy opuszczali jadalnię, Ila pomyślała, że jeśli nie będzie ostrożna, ich rozmowa może potoczyć się niebezpiecznym torem, postanowiła więc jej nie przedłużać.

- Wybaczysz mi, jeśli wcześniej się dziś położę? Boli mnie głowa.

Przez moment sądziła, że odmówi. Jednak, jakby przypomniał sobie, że jutro musi ładnie wyglądać, powiedział:

- Oczywiście, kochanie. Idź i śpij dobrze. Pamiętaj, aby rano założyć najpiękniejszą sukienkę, w której zadziwisz markiza swoją urodą.

- Jestem pewna, że kiedy mnie zobaczy, pomyśli o tych wszystkich londyńskich pięknościach, z którymi nie miałabym nawet odwagi konkurować.

Diuk roześmiał się.

- Możesz zaufać Rakemoore'owi. On zawsze wybiera to, co najlepsze.

Pocałował ją w policzek i skierował się do gabinetu. Ila, idąc na górę, słyszała jeszcze jego kroki, szepnęła więc:

- Do zobaczenia, tato.

Kochała ojca, ale nie mogła pozwolić, żeby zniszczył jej życie.

ROZDZIAŁ 4

Było tuż po wpół do siódmej, kiedy Ila podążała w kierunku stajni. Gdyby wyszła wcześniej, mogłoby to się wydać podejrzane.

Latem często budziła się przed siódmą. W stajni czekał już na nią osiodłany Swallow, z którym odbywała swoje poranne wędrówki.

Poprzedniej nocy pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli dotrze na skraj lasu należącego do jej ojca, a potem przetnie posiadłość Rake. Dalej mogłaby pojechać w dół zbocza, za którym rozciągały się małe wioski, gdzie nikt na pewno jej nie rozpozna.

W jednej z nich mieszkała dawna guwernantka Ili, która musiała mieć już ponad osiemdziesiąt lat. Na nieszczęście, dziewczyna nie pamiętała nazwy wsi. Przyszło jej jednak do głowy, że jeżeli zapyta o pannę Dunkill, każdy będzie wiedział, czy taka osoba mieszka w okolicy. Jeśli uda się ją odnaleźć, oczywiście pod warunkiem, że panna Dunkill będzie jeszcze żyła, poradzi jej, gdzie może się bezpiecznie ukryć.

Najważniejszą rzeczą było teraz trzymać się z dala od posiadłości ojca. Matka zawsze opiekowała się mieszkankami okolicznych wiosek, więc tam zostałyby szybko rozpoznana.

Ila zaplanowała wszystko. Szal, w którym znajdował się jej bagaż, owinęła dodatkowo papierem. Poprosiła chłopca stajennego, który siodłał Swallowa, aby przymocował tobolek z tyłu siodła.

- To prezent dla starszej kobiety, która jest chora - wyjaśniła, próbując nawiązać rozmowę.

Najwyraźniej chłopcu było to zupełnie obojętne. Wykonał polecenie i pomógł dziewczynie wsiąść na konia. Ila podziękowała mu i, jak zawsze podczas porannych przejażdżek, pojechała przez park. Kiedy wyjechała na płaski teren, zmusiła konia do galopu, aż dotarła do lasu. Dopiero

tutaj nabrała całkowitej pewności, że to, co robiła, było słuszne. Szumiące drzewa uspokajały ją i wyrażały aprobatę dla jej czynu. Teraz wiedziała, kto odpowiedział na jej błagania. To matka kazała Ili uciekać.

- Wrócę do domu, kiedy tata zrozumie, że małżeństwo z markizem unieszczęśliwi mnie - powiedziała do siebie. - Do tego czasu nie będę nawet próbowała zbliżyć się do niego.

Pomyślała, że im szybciej oddali się od rodzinnych posiadłości, tym lepiej. Nie sądziła, aby jej nieobecność kogokolwiek zaniepokoiła. Dopiero, gdy nie pojawi się na lunchu, powstanie zamieszanie. Ojciec będzie musiał wymyśleć jakieś wytłumaczenie, aby ułagodzić markiza.

Markiz! Sama myśl o nim spowodowała, że zadrżała. Był z pewnością tak samo apodyktyczny, jak jej ojciec. Dlatego nie mogła spędzić z nim reszty swojego życia.

Zwykle jechała wolno, słuchając śpiewu ptaków, dziś jednak pośpieszała Swallowa, który biegł szybko ścieżką wijącą się wśród sosen. Po drodze minęła staw, w którym w świetle dnia spały nimfy, aż dotarła na skraj lasu.

Nie odwiedzała tego miejsca zbyt często, gdyż zazwyczaj, zanim dojechała do stawu, było już późno i musiała wracać na śniadanie. Las był tu gęstszy. Jej ojciec dla oszczędności zmniejszył liczbę drwali. Nie odbywały się tu także polowania, bo według leśników tutejsze drzewa nie stanowiły dobrych siedlisk dla bażantów. Ila cieszyła się, że w tak uroczym zakątku nie słyszało się odgłosów strzelb.

Wyjechawszy z lasu, skręciła w prawo, jadąc w kierunku, gdzie kończyły się dobra ojca. Wjeżdżając na teren posiadłości markiza, rozejrzała się, aby sprawdzić, czy w zasięgu wzroku nie było nikogo. Za linią graniczną rozciągało się niewielkie, płaskie pole, a za nim, ku ogromnej radości Ili, kolejny las. Wiedziała, że w końcu zaprowadzi ją do

szukanego miejsca, zbocza, u podnóża którego znajdowała się dolina, a w niej kilka małych wsi.

Najpierw jechała między drzewami, a później znowu znalazła się na polanie oblanej przez promienie słoneczne. Zauważyła, że teren był tu nawet wyższy niż sądziła, a w dole rozpościerała się malownicza dolina.

Słyszała kiedyś, jak służący w zamku opowiadali o osuwisku znajdującym się na terenie posiadłości Rake. Teraz ujrzała przed sobą ostrą krawędź, poniżej której rozciągało się skaliste urwisko. Była świadoma, że to właśnie o tym miejscu słyszała opowieści w czasach dzieciństwa.

Ila wiedziała, że musi zejść w dół, aby dotrzeć do wiosek, których szukała. A to oznaczało, że była zmuszona zostawić Swallowa. Serce pękało jej z rozpacz, ale zdawała sobie sprawę, iż koń tak piękny jak on z pewnością wzbudzi zainteresowanie.

Zawróciła i skierowała się do miejsca, gdzie z odległości kilku jardów widziała posiadłość ojca. Zeskoczyła z konia i odpięła paczkę zamocowaną do siodła. Przerzuciła przez nie strzemiona, aby nie uderzały boku zwierzęcia. Następnie oplotła ręce wokół jego szyi i pocałowała go, mówiąc:

- Muszę cię tu zostawić. W domu będziesz bezpieczny. I nie zapomnij o mnie, na pewno wrócę.

Koń otarł pysk o jej ramię, jakby w geście wyrażającym zrozumienie. Dziewczyna skierowała go w odpowiednim kierunku i zawołała:

- Idź do domu, Swallow! Idź do domu!

Dawno nauczyła go wykonywać pewne polecenia, ale to było chyba jego najtrudniejsze zadanie. Przez moment patrzył na nią powątpiewająco.

- Idź do domu! - zawołała znowu.

Swallow zaczął się od niej powoli oddalać. Spoglądał daleko przed siebie wiedząc doskonale, dokąd ma iść.

- Idź do domu!

Obserwowała, jak kłusem wbiegł do lasu. Czekwała chwilę, na wypadek gdyby wrócił, chociaż wiedziała, że na pewno odnajdzie drogę do stajni. W jej oczach pojawiły się łzy. Szybko jednak otarła je, podniosła tobolek i zawróciła w stronę urwiska.

Kiedy dotarła na krawędź wzniesienia i spojrzała w dół, zrozumiała, dlaczego tak wiele mówiono o tym miejscu. Poniżej znajdowała się prawie pionowa odsłoniętej ziemi, która miała tysiąc stóp wysokości. Krawędź urwiska była nadal bardzo wyraźna, jakby fragment wzniesienia oderwał się zaledwie wczoraj. Na dole leżały ogromne kamienie przypominające skały wystające ponad powierzchnię morza. Pomiedzy nimi rosło kilka niewielkich krzaków, jednak odsłonięte zbocze było całkowicie pozbawione roślinności.

Ponieważ słońce zaczęło mocniej grzać, Ila poszukała schronienia między drzewami.

Nie zabrała ze sobą kapelusza, gdyż wszystkie, które miała, były zbyt eleganckie. Kobiety w wioskach nie nosiły kapeluszy, zamiast tego obwiązywały głowy chustkami. Zresztą, gdyby ubrała się wytwornie, z pewnością zwróciłaby na siebie uwagę. Wybrała więc codzienny strój do konnej jazdy, który w niczym nie przypominał wspaniałe skrojonych sukni wiszących w jej szafach. Był dość stary, dostała go, gdy miała szesnaście lat. Nie był też uszyty według najnowszej mody. Składał się z sutej spódnicy, z bardzo sztywną halką i luźnego zakietu, pod który Ila założyła białą, muślinową bluzkę. W jej garderobie nie można już chyba było znaleźć bardziej skromnego stroju.

Prawie dotarła na koniec urwiska, które znajdowało się teraz po lewej stronie, kiedy usłyszała dźwięk dochodzący z lasu. Przycupnęła pod drzewem. Przez głowę przemknęła jej

myśl, że był to jeden z gajowych albo drwali markiza. Miała nadzieję, że, być może, nie zostanie zauważona, więc jeszcze bardziej przyłgnęła do drzewa.

Wtedy właśnie zobaczyła ścieżkę wijącą się wśród bujnej, leśnej roślinności. Przypominała tę, po której odbywała swoje poranne przejażdżki.

Spojrząwszy przed siebie, Ila ujrzała coś, co na pierwszy rzut oka było podobne do konia. Po chwili jednak zorientowała się, że to kucyk. Zauważyła, że zachowywał się w dość dziwny sposób. Wydawał różne odgłosy i często przystawał. Patrzyła zdumiona, sądząc, że może się myli.

Gdy zwierzę podeszło bliżej, zobaczyła małego chłopca siedzącego w siodle. Wydawało się, że całkowicie stracił panowanie nad kucykiem i za chwilę spadnie na ziemię. Ale mimo dziwnego zachowania zwierzęcia, udawało mu się nadal utrzymywać równowagę.

Nagle kucyk wyrwał ostro do przodu i wtedy Ila zamarła z przerażenia.

- Jeżeli dalej będzie się tak szarpał i rzucał, z pewnością nie zauważą urwiska i runą w dół prosto na kamienie - pomyślała.

Konik dotarł właśnie do końca ścieżki. Ila bez zastanowienia podniosła swój tobołek i pobiegła naprzód. Rzuciła się do pyska zwierzęcia w ostatniej chwili. Do osuwiska zostały tylko dwie stopy. Próbując przytrzymać oszalałe zwierzę, krzyknęła do chłopca:

- Zeskakuj! Szybko! Szybko!

Posłuchał jej, a kucyk rzucił się jeszcze raz. Lejce wypadły z rąk dziewczyny, gdy zwierzę zniknęło za skalną krawędzią. Ale Ila nie była już tego świadoma. Chłopiec, zeskakując z konia przewrócił ją, a ona upadając uderzyła głową o kamień leżący niedaleko i straciła przytomność.

Robin Moore wstał.

Dwóch służących wyszło z lasu. Mieli pobielale ze strachu twarzy.

- W... w porządku, paniczu Robinie? - zapytał jeden z nich.

Robin nie odpowiedział. Stał nad osuwiskiem, na którego dnie leżał jego kucyk. Służący stanął obok niego.

- Nie żyje, paniczu Robinie.

- Został ukąszony przez osy - wyjaśnił Robin. - Były chyba dwie lub trzy i jedną widziałem na jego szyi.

- Musiały mieć niedaleko gniazdo - zauważył służący.

Odwrócił się w stronę, gdzie drugi klęczał obok dziewczyny, podtrzymując jej głowę ręką.

- Ta dama uratowała panu życie, paniczu - powiedział. - Ale sama mocno się zraniła.

- Czy jest nieprzytomna? - zapytał Robin.

- Myślę, że tak.

- W takim razie musimy zabrać ją do domu - zdecydował. - Ale to dość długa droga.

- Mam lepszy pomysł - powiedział jeden ze służących. - Zabierzemy ją do domku w lesie.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko stąd - odparł. - Pani Wilcox, która tam mieszka, będzie z pewnością wiedziała, jak jej pomóc.

- Jak ją tam zabierzemy? - zapytał młodszy służący.

- My ją zaniemiemy - odpowiedział starszy. - A panicz Robin poprowadzi nasze konie.

- Tak, oczywiście - zgodził się Robin. Popatrzył na dziewczynę leżącą z zamkniętymi oczami.

- Tylko bądźcie ostrożni - dodał. - Chcę podziękować jej za uratowanie mi życia.

- Gdyby nie ona, panicz pewnie by... - umilkł, zdając sobie nagle sprawę, że nie powinien tego mówić.

Robin trzymał konie, które były bardzo posłuszne. Od czasu, gdy służący wyszli z lasu, stały w pobliżu skubiąc trawę.

- Znamy drogę, więc pójdziemy przodem. Chłopiec nie odpowiedział. Obserwował jedynie, jak podnoszą ją z ziemi.

Nieśli ją trochę nieporadnie. Kiedy weszli na ścieżkę prowadzącą do lasu, Robin zawołał:

- Pod tamtym drzewem leży jakaś paczka. Musiała upuścić ją, kiedy biegła, aby zatrzymać Rufusa.

Służący znowu położyli dziewczynę na ziemi. Młodszy poszedł w kierunku wskazanym przez panicza, podniósł tobolek i wsadziwszy go pod ramię, zawrócił do miejsca, gdzie leżała Ila.

Droga okazała się dość długa. Szli wąskimi ścieżkami, które zdawały się prowadzić do samego serca puszczy, Nieoczekiwanie, pojawiła się przed nimi polana, z której rozciągał się widok na piękną okolicę. Na końcu polany stał dziwnie wyglądający dom.

Dwieście lat temu stary markiz Rakemoore postanowił zrzec się swych posiadłości na korzyść starszego syna i wycofać z życia towarzyskiego. Domek myśliwski, który odziedziczył po przodkach, został wyremontowany i uczyniono z niego idealne mieszkanie dla starego człowieka, który, pisząc pamiętniki, spędził w nim ostatnie lata życia.

Później był on wykorzystywany przez strażników leśnych odstraszać lisy i inne zwierzęta stanowiące zagrożenie dla ptactwa lubianego przez myśliwych. Latem młodszy członek rodziny, z dala od czujnego ojcowskiego oka, urządzali w nim pikniki.

Obecny markiz pozwolił zamieszkać tam swojej starej opiekunce. Nikt się nie spodziewał, że poślubi ona głównego gajowego. Wilcox służył rodzinie Rakemoore'ów przez czterdzieści lat, o dziesięć lat dłużej niż Nanny. Markiz

pomyślał że jedyne, co może dla nich zrobić, to pozwolić im spędzić resztę życia w wygodnie urządzonej chacie.

Ale Wilcox kochał las i, mimo podeszłego wieku, nie chciał rezygnować ze swojego zajęcia. Zamieszkał więc wraz z żoną w domku myśliwskim. Oboje byli z tego bardzo zadowoleni, chociaż dla innych miejsce to było zbyt odizolowane od reszty świata. Uważano też, że jest nawiedzane przez duchy.

Nanny Wilcox, usłyszawszy pukanie do drzwi, podeszła, aby je otworzyć.

- Co się stało? - zapytała.

Starszy służący opowiedział, jak Ila uratowała życie paniczowi Robinowi, a potem upadając, uderzyła się w głowę i straciła przytomność. Zanim skończył, Nanny otworzyła szerzej drzwi i powiedziała:

- Wejdźcie do środka. Tylko uważajcie na dziewczynę, korytarz jest wąski.

Dom był jednopiętrowy. Zaprowadziła ich do pokoju, który był bardzo czysty i wygodny, choć najwyraźniej rzadko używany przez gospodarzy.

Przed wprowadzeniem się Nanny Wilcox, markiz kazał odnowić wszystkie znajdujące się tu sprzęty.

W pokoju stało duże łóżko, a nad nim z dwóch stron zwisały zasłony. Na podłodze leżał gruby dywan. Pozostałe meble znajdowały się w posiadłości Rake, gdyż były one dla dwojga starszych ludzi bezużyteczne.

Służący ostrożnie położył dziewczynę na łóżku.

- Czy mam iść po doktora? - zapytał.

- Skoro uderzyła się w głowę, z pewnością doznała wstrząsu - powiedziała Nanny. - Miałam do czynienia z podobnymi wypadkami przez całe życie i wiem, co robić.

Starszy służący wyszedł, aby sprawdzić, czy panicz dotarł za nimi bezpiecznie. Robin stał na zewnątrz trzymając konie. Kiedy wziął od niego lejce, chłopiec wszedł do środka.

Idąc korytarzem, dotarł do sypialni. Drugi służący opowiadał Nanny o dziwnym zachowaniu kucyka pogryzionego przez osy.

- To było okropne - mówił - naprawdę okropne. Ale ja i Jim nic nie mogliśmy zrobić.

- Ona uratowała mi życie - wtrącił Robin, pojawiając się w drzwiach. - Musisz więc zająć się nią bardzo troskliwie.

Mówił w swój zwykły, agresywny sposób, ale Nanny uśmiechnęła się do niego.

- Będzie u mnie bezpieczna - zapewniła go. - A z tego, co zdążyłam usłyszeć, ty musisz być tym młodym człowiekiem, który mieszka w wielkim domu.

- Jestem Robin Moore - przedstawił się - a ta dama uratowała mi życie.

- O tym już słyszałam - odrzekła Nanny - i wiem, że chciałbyś jej za to podziękować, kiedy odzyska przytomność.

- Poczekam tu, aż jej stan się poprawi - w jego głosie pobrzmiwała nuta stanowczości, jakby myślał, że ktoś będzie chciał mu się sprzeciwić.

- W takim razie witam cię w swoim domu - zgodziła się Nanny.

Odwróciła się w stronę służących.

- Wy dwaj idźcie lepiej zobaczyć, co się stało z kucykiem. Mówiłam to już wiele razy, ale powtórzę znowu: zбочe powinno zostać ogrodzone.

- Racja - wtrącił jeden z nich.

- Zapamiętacie moje słowa! - ciągnęła. - Dopiero, gdy zdarzy się takie nieszczęście, ludzie zaczynają o tym mówić. Ale na rozmowach zawsze się kończy.

- Jak tylko znajdziemy jakiś sznur, będziemy musieli zanieść Rufusa do stajni.

Służący potrząsnął głową.

- On jest martwy, paniczu. Żadne zwierzę nie przeżyłoby upadku z takiej wysokości. - Mówiąc to pomyślał, że to samo mogło spotkać Robina.

Równie przerażająca myśl musiała przyjść do głowy Nanny, bo powiedziała ostro:

- Musicie iść do stajni i zawołać kogoś, kto zakopie to biedne zwierzę. Zabierzcie też siodło i uzdę, zanim ktoś je ukradnie.

- Oczywiście, pani Wilcox, ma pani rację - starszy służący skierował się do drzwi. Po drodze jednak zawahał się.

- Czy na pewno chce pan tu zostać, paniczu? - zapytał. - Możemy wrócić wieczorem, aby pana zabrać.

- Zostanę tu, dopóki ta młoda dama nie obudzi się.

- Sposób, w jaki to zaakcentował, świadczył, że podjął już decyzję i nikt nie mógł go od niej odwieść.

- Idźcie już - ponagliła Nanny.

- Na zewnątrz leży paczka należąca do tej damy

- dodał służący.

- Wezmę ją - Nanny była już zniecierpliwiona. Służący wyszli, a Robin zbliżył się do łóżka. Popatrzył na dziewczynę. Nagle, w obawie, że mogła już nie żyć, dotknął jej dłoni. Była ciepła, ale to go nie przekonało. Zastanawiał się, czy przez dotyk mógłby poczuć bicie jej serca.

Wtem otworzyła oczy. Nie widziała go chyba, tylko mówiła coś przerażonym głosem, tak cicho, że ledwie mógł ją zrozumieć.

- Ukryj mnie! Ukryj mnie! Nie mogą mnie znaleźć! Poruszyła się lekko. Potem jej oczy się zamknęły i Ila znowu straciła przytomność.

Markiz przybył na umówiony lunch dokładnie za kwadrans pierwsza. Został powitany bardzo wylewnie, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że przed jego przyjazdem w zamku wybuchło ogromne zamieszanie.

Diuk miał spotkanie z człowiekiem zarządzającym jego posiadłościami i razem z nim odbył krótki przegląd budynków gospodarczych. Kiedy wrócił parę minut po dwunastej, sądził, że jego córka będzie już na niego czekała. Ila nie zjawiała się na śniadaniu, ale pomyślał, że miało to związek z jej wczorajszym bólem głowy i dlatego postanowiła zostać dłużej w łóżku. W tej chwili liczyło się tylko to, aby wyglądała ładnie na przyjazd markiza.

Był świadomy wielu romansów przyszłego zięcia. W jego życiu pojawiało się wiele pięknych kobiet, których w londyńskim towarzystwie nigdy nie brakowało. Diuk przypuszczał też, że nagłe pragnienie zawarcia małżeństwa mogło mieć coś wspólnego z lady Wisbourne.

Ale nic nie mogło przyćmić jego radości z faktu zaręczyn Ili i markiza. Gdy w nocy przypomniał sobie jej reakcję, doszedł do wniosku, że były to tylko nerwy. Każda młoda kobieta zachowałaby się w takiej sytuacji podobnie.

- Jak mogła nawet pomyśleć o odrzuceniu mężczyzny, którego każda Angielka chciałaby poślubić? - pytał sam siebie.

Z rozbawieniem pomyślał, że matki, które przez lata próbowały wydać swe córki za markiza, poczują się ogromnie sfrustrowane.

- Będą zgrzytać zębami, ale nic już nie zrobią - uśmiechnął się.

Postanowił, że pójdzie na górę i sprawdzi, jak wygląda Ila. Żałował, że nie mieli czasu pojechać do Londynu, aby kupić kilka nowych sukien, które mogłaby nosić w nadchodzącym sezonie towarzyskim. Nagle przypomniał sobie, że jego

siostra, która miała być opiekunką Ili, tydzień temu przysłała jej suknię i płaszcz podróżny. Zamówiła też kilka innych rzeczy, więc do czasu, gdy będą mieli możliwość odwiedzić londyńskich krawców, Ila mogła je nosić.

Otworzywszy frontowe drzwi, zwrócił się do lokaja:

- Powiedz lady Lavinii, że czekam na nią w gabinecie.

- Tak jest, wasza miłość - powiedział i poszedł na górę. Drugi służący zajrzał najpierw do biblioteki, gdyż było najbardziej prawdopodobne, że tam ją zastanie.

Dziesięć minut później obaj zakomunikowali, że lady Lavinii nigdzie nie ma.

- Jak to, nie ma jej? - krzyknął wzburzony diuk.

- Musi gdzieś być! Może jest w stajni? Głupcy! Znajdźcie ją i powiedzcie, żeby tu natychmiast przyszła.

Pomyślał ze złością, że częste wizyty w stajniach były w zwyczaju jego córki. Zamiast bawić się z końmi, powinna teraz przygotować się na przyjazd markiza!

Kiedy powiedziano mu, że Lavinii nie ma także w stajni, ze złości jego twarz przybrała kolor purpury.

- Musi gdzieś być! - wykrzykiwał. - Przeszukajcie cały dom!

- Już to zrobiliśmy, wasza miłość.

- W takim razie zróbcie to jeszcze raz! Lady Lavinia musi być w piwnicy albo na strychu, I sprawdźcie też w kuchni!

Usłyszał, że na dziedzińcu pojawił się powóz markiza. Wtedy dopiero zrozumiał, że Lavinia umyślnie gdzieś się ukryła. Wzbudziło to w nim tak wielką złość, że lokaj zląkł się, iż jego panu może grozić zawał. Diuk zdawał sobie sprawę, że nie może dopuścić, aby markiz dowiedział się o wszystkim. Zmusił się więc do uśmiechu i, kiedy wchodzili do gabinetu, powiedział:

- Strasznie mi przykro, ale nie będziesz mógł się dziś spotkać z Lavinią.

Markiz uniósł ze zdziwienia brwi.

- Nie ma jej?

- Obawiam się, że tak. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że ma umówione spotkanie z krewną, która ostatnio nie czuje się dobrze.

Przerwał na chwilę i uśmiechnął się.

- Ona ma ogromne poczucie obowiązku. Pomyślała, że odwołanie tego spotkania w ostatniej chwili będzie świadczyło o jej nieuprzejmości.

- Rozumiem - powiedział markiz.

- To bywa czasami irytujące - kontynuował diuk. - Ale będziemy mogli przynajmniej porozmawiać o naszych koniach. A po lunchu pokażę ci moje klacze.

Klaczki diuka były naprawdę wspaniałe. W drodze powrotnej do Rake, markiz myślał, że entuzjazm przyszłego teścia był usprawiedliwiony. Być może, mając stajnie pełne najlepszych koni, uda im się wyhodować prawdziwego championa.

Naturalnie, wydało mu się dziwne, iż nie zastał lady Lavinii.

- Jutro, razem z córką złożę ci wizytę, oczywiście pod warunkiem, że zamierzasz zostać na wsi - powiedział diuk. - Albo, jeśli wolisz, możesz znów wpaść do nas.

- Chcę zostać w Rake aż do poniedziałku - odparł markiz.

- I jesteście mile widziani w moim domu o każdej porze dnia.

Był wystarczająco spostrzegawczy, aby zauważyć, że jego ostatnie słowa sprawiły diukowi dużą przyjemność; cieszył się świadomością, że frontowe drzwi posiadłości Rake będą stały odtąd zawsze dla niego otworem.

Zbliżając się do domu, markiz zdał sobie sprawę, iż nie będzie miał w czasie weekendu żadnego towarzystwa. Wcześniej bowiem przeznaczył te dni na bliższe poznanie lady Lavinii. Teraz jednak chciał, aby przynajmniej jego

przyjaciel, Peregrine Brentwood odwiedził go i zjadł razem z nim obiad.

Kiedy zatrzymał się przed frontowymi drzwiami, stajenny zabrał jego powóz i zaprowadził konie do stajni. W sieni czekał na niego Barrett i lokaj Dawson. Ich twarze miały dziwny wyraz i markiz od razu zorientował się, że stało się coś złego.

- O co chodzi? - zapytał

- O panicza Robina, milordzie - odparł Dawson.

- Co zrobił tym razem?

- Według służących, którzy towarzyszyli mu podczas porannej przejażdżki - teraz odpowiadał Barrett - panicz Robin omal nie stracił życia.

Markiz był przerażony.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jego kucyk, Rufus, nadepnął w lesie na gniazdo os i zupełnie oszalał. Szedł, rzucając się na wszystkie strony. Panicz Robin zginąłby z pewnością, spadając w dół osuwiska, gdyby nie pewna kobieta.

Markiz słuchał, sprawiając wrażenie, jakby nie dowierzał ich słowom.

- Po co, u diabła, zbliżał się do tego osuwiska? - zapytał. - Przecież każdy wie o grożącym tam niebezpieczeństwie.

- To panicz Robin wybrał drogę. Jak zawsze zresztą. Służący jechali za nim w pewnej odległości, a gdy zauważyli, co się dzieje, nie mieli pojęcia, jak mogliby mu pomóc.

- Ale ktoś go przecież uratował - zauważył markiz ostro.

- Młoda kobieta przytrzymała kucyka w chwili, kiedy zbliżył się nad krawędź przepaści, a panicz Robin zdołał wtedy zeskoczyć. Niestety, kucyka nie dało się uratować.

Markiz wydał z siebie westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu, chłopcu nic się nie stało. Gdzie on jest teraz?

- Służący zanieśli dziewczynę do domku w lesie. Panicz Robin uparł się, że zostanie tam tak długo, póki nie odzyska ona przytomności, aby podziękować jej za uratowanie życia.

Markiz spojrział zdziwiony. Od kiedy stał się opiekunem Robina, nigdy nie zauważył, aby chłopiec komukolwiek okazał uprzejmość. Był wobec wszystkich agresywny, ordynarny i nie panował nad swoimi emocjami.

- Więc mój bratanek jest w leśnym domku! - nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Tak, milordzie.

- Jadę tam natychmiast. Każ osiodłać Saracena, a ja w tym czasie przebiorę się.

Idąc na górę po schodach, pomyślał, że, jak zwykle, Robin wplątał się w jakąś awanturę. Oczywiście, nie mógł poradzić, że jego kucyk został pogryziony przez osy, ale, z drugiej strony, po co jechał do lasu? W jego posiadłości znajdowały się rozległe, płaskie tereny całkowicie pozbawione roślinności, które znakomicie nadawały się do konnej jazdy.

Markiz ostrzegł już chyba każdego, że osuwisko za lasem było bardzo niebezpieczne. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, iż może z niego spaść dziecko. Obawiał się jedynie, aby któryś z jego myśliwskich psów lub leśników, nie zrobił w ciemnościach o jeden krok za dużo.

- Powinienem już dawno ogrodzić to miejsce - powiedział do siebie.

Jadąc wąskimi ścieżkami, myślał, jak pięknie wyglądał las w świetle popołudniowego słońca. Znał dobrze drogę do domku. Kiedy był małym chłopcem, to miejsce zawsze go fascynowało. Przez kilka lat domek był zamknięty, gdyż uważano, że nawiedzały go duchy jednego z przodków, który spędził w nim znaczną część swojego życia. Ale stara niania nie wierzyła tym pogłoskom i sama zaproponowała, iż

chciałaby tam zamieszkać. Również jej mąż nie wyobrażał sobie, jak mógłby żyć z dala od lasu.

- Tylko tam chcę mieszkać, paniczu Osbercie - powiedziała Nanny. - Nie zniosłabym życia w jednej z tych wsi, gdzie wszystkie kobiety zaglądałyby przez płot, aby zobaczyć, co robię.

Markiz roześmiał się.

- Wiesz, nianiu, że mogłabyś zamieszkać wszędzie, gdziekolwiek byś chciała. Ale zgadzam się, ten leśny domek będzie dla ciebie najlepszym miejscem.

Przerwał na chwilę, zaraz jednak mówił dalej:

- Nie mam też wątpliwości, że zamiast zajmować się dziećmi, będziesz uczyła wiewiórki, jak powinny się zachowywać i na pewno zmusisz wszystkie króliki do mycia zębów.

Tym razem to Nanny się roześmiała.

Markiz pomyślał, że zawdzięczał jej szczęśliwe dzieciństwo. Jego rodzice bardzo go kochali, ale oboje byli bardzo zajęci. To niania czytała mu bajki, udzielała pierwszych lekcji i nauczyła go odpowiedzialności za ludzi mieszkających w jego posiadłości. Zabierała go też do kościoła. Siadali w rodzinnej ławce, a kiedy ojciec był nieobecny, on zajmował jego miejsce. Musiał zachowywać się tak, jak go tego uczyła: jak mały dżentelmen.

Opuszczając dom, zastanawiał się, jakie wrażenie wywarł Robin na Nanny.

- Od śmierci matki ten chłopak stał się nieznośny - markiz głośno stwierdził, chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto by go słuchał.

Gdy dotarł do leśnego domku, zeskoczył z konia. Saracen był jego własnością od wielu lat i w tym czasie zdążył go nauczyć, aby przychodził na każde zawołanie, nie było więc potrzeby przywiązywania go.

Drzwi frontowe były otwarte i markiz wszedł do środka. Zjrzał do kuchni, gdzie, zgodnie z oczekiwaniami, zastał swoją dawną piastunkę zajętą zmywaniem naczyń.

- Witaj, Nanny!

- Panicz Osbert! - zawołała. - Tak myślałam, że po tym wszystkim, co się tu wydarzyło, musi pan przyjechać.

- Jestem szczęśliwy, że mojemu bratankowi nic się nie stało. Słyszałem, że to jakaś młoda kobieta uratowała mu życie.

- Biedaczka, jest teraz nieprzytomna. Ale to najpiękniejsza panienska, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Panienska? - powtórzył markiz. - Myślałem, że to córka jednego z tutejszych rolników.

Nanny potrząsnęła głową.

- Nie, paniczu Osbercie, To najprawdziwsza lady z krwi i kości.

- Wiem, że nigdy się nie mylisz - uśmiechnął się markiz - ale co ona robiła w pobliżu osuwiska?

Bezradnie rozłożyła ręce.

- Dowiemy się dopiero wtedy, gdy odzyska przytomność.

- Chciałbym ją zobaczyć.

- Jest w pokoju gościnnym - odparła Nanny. - Wie pan, gdzie to jest.

Markiz uśmiechnął się i wyszedł z kuchni. Poszedł wzdłuż korytarza. Drzwi do pokoju były lekko uchylone. Kiedy je pchnął, otworzyły się szeroko. Zobaczył Robina spoglądającego przez okno. Chłopiec odwrócił się, gdy wuj zbliżył się do niego.

- Jak ona się czuje? - zapytał markiz.

- Nadal jest nieprzytomna, wujku Osbercie - odparł Robin szeptem.

Markiz podszedł do łóżka. Po tym, co usłyszał, sądził, że zobaczy młodą, silną kobietę. Widok drobnej osóбки o prawie

dziecięcym wyglądzie całkowicie go zaskoczył. Dziewczyna była jednak tak śliczna, że nie mógł oderwać od niej wzroku. Nanny przebrała ją w koronkową nocną koszulę, którą znalazła w tobołku przyniesionym przez służących. Wyjęła też wszystkie szpilki podtrzymujące fryzurę, aby nie raniły jej głowy.

Upadając, Ila musiała uderzyć się w najdelikatniejsze miejsce, ale na szczęście kamień nie przeciął skóry.

Długie, czerwonozłote włosy opadały teraz swobodnie na ramiona, zwijając się delikatnie na końcach. Markiz natychmiast rozpoznał ten kolor, uwieczniony na obrazie Botticellego „Narodziny Wenus”. Nigdy dotąd nie widział takiego koloru u żadnej kobiety. W świetle wieczornego słońca przypominał prawdziwe złoto. Długie, ciemne rzęsy tworzyły cienie na jej twarzy.

Dziewczyna była bardzo blada i wydawało się mu, iż wygląda tak nierealnie, jak nimfa, która wyszła z lasu i w każdej chwili może zniknąć. Zganił się za zbyt bujną wyobraźnię.

Kiedy stał, patrząc na nią, zorientował się, że Robin podszedł do niego.

- Czy powiedziała cokolwiek, od kiedy tu jest? - zapytał.

- Tak - wyszeptał Robin.

- Czy pamiętasz, co dokładnie?

- Powtarzała: Ukryjcie mnie! Ukryjcie! Nie mogą mnie znaleźć!

Robin podniósł głowę.

- To właśnie musimy zrobić. Nie możemy jej zdradzić! Uratowała mnie od śmierci.

- Tak, oczywiście - zgodził się markiz.

- Nie wolno nam opowiadać o niej w Rake - ciągnął chłopiec. - W przeciwnym razie źli ludzie, którzy jej szukają, przyjdą i zabiorą ją.

- Skąd wiesz, że są źli? - zapytał markiz.

- Nie uciekałaby, gdyby było inaczej - odparł zaskakująco logicznie.

- Masz rację - przyznał markiz. - Zachowamy sekret, dopóki sama nie będzie nam w stanie powiedzieć dlaczego się ukrywa.

Robin spojrział na niego w sposób, który wydawał mu się bardzo dziwny.

- Obiecujesz, że nikomu o niej nie powiesz? - zapytał.

Markiz był zdumiony. Po raz pierwszy, zamiast myśleć tylko o sobie, chłopiec zatroszczył się także o kogoś innego. Przez cały czas pobytu w Rake doprowadzał do wściekłości wszystkich, nie szczędząc nawet biednych guwernantek.

Być może, był to promyk nadziei, więc, aby zachęcić bratanka, powiedział:

- W tych okolicznościach ty jesteś za nią odpowiedzialny, dlatego powinieneś się nią opiekować,

- O tym samym pomyślałem - odparł Robin. - Udało jej się przytrzymać Rufusa. Został pogryziony przez osy i zachowywał się jak szalony.

- To musiało być straszne - zauważył markiz.

- Krzyknęła: zeskakuj - mówił dalej chłopiec - ale, kiedy próbowałem to zrobić, Rufus szarpnął się i upadłem prosto na nią. Właśnie wtedy uderzyła się w głowę.

Markiz słyszał już o tym.

- Nie sądzę, aby długo pozostała nieprzytomna. W każdym razie Nanny wie, co robić - próbował pocieszyć swojego bratanka.

Robin podniósł głowę i spojrział na niego. Kiedy mówił, w jego głosie pojawiła się nuta agresji.

- Mam zamiar zostać tu z nią. Nie wracam do Rake.

- Oczywiście, jeśli takie jest twoje życzenie. Musimy tylko zapytać Nanny, czy tyle obcych osób w domu nie sprawi jej kłopotu.

- Nie będę jej przeszkadzać - obiecał Robin.

Markiz już miał powiedzieć, że bratanek przeszkadzał zawsze, wszyskim i wszędzie, uznał jednak, że tym razem mówiąc to popełniłby błąd. Bez słowa więc opuścił pokój i znowu zajrzał do kuchni.

W oczach Nanny pojawiły się iskierki, kiedy spojrzała na niego. Wiedziała, że uroda dziewczyny wywarła na nim ogromne wrażenie.

- Mój bratanek chciałby tu zostać - poinformował ją - naturalnie, jeśli się zgodzisz. Myślę, że jesteś jedyną osobą, która może nauczyć go, jak się odpowiednio zachowywać.

- Słyszałam, że jest małym urwisem.

- To bardzo łagodne określenie - westchnął markiz.

- Oczywiście, może tu zostać. Przynajmniej będę miała nowe zajęcie. Na starość robię się bardzo leniwa.

- Nie mogę wyobrazić sobie dla ciebie innej pracy niż opieka nad dziećmi.

Nanny uśmiechnęła się.

- Bardzo brakuje mi dzieci. Zastanawiam się, kiedy pan, paniczu Os bercie, doczeka się potomka.

- To może zdarzyć się szybciej, niż przypuszczasz - odpowiedział.

- Czy to znaczy, że... zamierza się pan ożenić?

- zapytała podekscytowana. Markiz skinął głową.

Nanny spojrzała na niego. Jego oczy pociemniały, a twarz przybrała dziwny wyraz, który znała dobrze. Wiedziała o nim więcej niż on sam o sobie. Nieoczekiwanie powiedziała:

No cóż, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat, ale teraz musimy zająć się tą młodą damą.

Robin obiecał, że ci pomoże. Gdy wrócę do Rake, przyślę wam trochę jedzenia i jeszcze kogoś do pomocy.

- Sama dam sobie ze wszystkim radę - odrzekła Nanny. - Panicz Robin mówił, że ta dziewczyna chce się przed kimś ukryć. Musimy więc strzec jej tajemnicy, przynajmniej do czasu, gdy sama nam wszystko wyjaśni. Markiz roześmiał się.

- Brzmi to, jak w czasach mojego dzieciństwa, a ty jesteś jedyną osobą, która się do tego nadaje.

Podszedł do drzwi.

- Odwiedzę was jutro. Gdybyś do tego czasu potrzebowała czegoś, daj mi znać.

- Dobrze, paniczu Osbercie - powiedziała Nanny. - I dziękuję za wszystko.

- To ja powinienem być ci wdzięczny. Zastanawiam się tylko, jak poradzisz sobie z Robinem. Do tej pory udało mu się doprowadzić do wściekłości wszystkich, którzy się z nim stykali.

Nanny uśmiechnęła się, a markiz już wiedział, że to nowe wyzwanie ucieszyło ją.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa - powiedział, a jego głos brzmiał szczerze. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty!

- To chyba komplementy, jakie uwielbiają wszystkie piękne kobiety w Londynie.

- Myślałem, że mieszkając tutaj - zauważył markiz oschle - słuchasz jedynie tego, co mówią leśne zwierzęta. Skąd wiesz o pięknych kobietach z Londynu?

- A jak pan sądzi, o czym rozmawiają tutejsi ludzie?

O tym samym, o czym wszystkie plotkarki w Rake. Odłożyła rondel, który do tej pory trzymała w ręce i dodała:

- Czasami powtarzają bardzo złe rzeczy.

ROZDZIAŁ 5

Markiz rozmyślał przez całą noc i podjął w końcu decyzję. Robin powinien dostać możliwie jak najszybciej nowego kucyka, chłopiec był bowiem doskonałym jeźdźcem. Ale z drugiej strony to, co się stało, mogło wywołać u niego niechęć do konnej jazdy, lub, co gorsze, lęk przed końmi. To często przytrafiało się małym chłopcom po podobnych wypadkach.

Zaraz po śniadaniu posłał po głównego stajennego. Mężczyzna poinformował go, że Rufus został już zakopany.

Markiz wyjaśnił mu, że jego zdaniem byłoby dobrze, aby Robin mógł szybko zająć się tym, co tak bardzo lubił, czyli jazdą konną.

- Och, sam o tym pomyślałem, milordzie. To musiał być szok dla panicza utracić kucyka w taki sposób.

- Czy mamy innego w naszych stajniach? - zapytał markiz.

- Tak, milordzie. Jest trochę większy, ale bardzo spokojny.

- Dobrze. Zamierzam dziś odwiedzić mojego bratanka, więc zabiorę kucyka ze sobą. Jeden ze służących będzie musiał mi towarzyszyć. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, a potem dodał:

- Najlepiej któryś z tych, którzy wczoraj byli z paniczem Robinem. Upewnij się tylko, czy nie wyolbrzymią tego, co się wydarzyło.

Nastąpiła cisza.

- Sądzę, że pan Barrett - kontynuował markiz

- nakazał im, aby nie mówili zbyt wiele o tym wypadku.

Stajenny był nieco zakłopotany.

- Oni uważają, że muszą panu wyjaśnić, milordzie, dlaczego panicz Robin nie wrócił do Rake.

Markiz pomyślał, że niezależnie od tego, co powiedział Robin, zachowanie tajemnicy będzie niemożliwe.

- Przygotuj kucyka za pół godziny - nakazał ostro.
- Ja wezmę Saracena.
- Dobrze, milordzie.

Poprzedniego wieczoru rozmyślał, kim też mogła być ta młoda dama i jak to możliwe, że była tak piękna. Próbował przekonać samego siebie, że było to tylko złudzenie. Zobaczył ją w tak niezwykłych okolicznościach, że z pewnością dlatego wydała mu się dużo ładniejsza niż w rzeczywistości.

- Kiedy z nią porozmawiam - powiedział do siebie
- okaże się, że to prosta dziewczyna, a Nanny się pomyliła.

Wiedział jednak, że w ten sposób próbował jedynie usprawiedliwić swoją ciekawość. Nanny, jak nikt inny, nigdy się nie myliła, jeśli chodziło o ocenianie pozycji społecznej nowo poznawanych ludzi.

Opuścił Rake trochę później, niż zamierzał. Służący szedł za nim prowadząc kucyka, który rzeczywiście był większy od Rufusa. Kiedy zbliżali się do leśnego domku, był ciekaw, jak zachowywał się tam Robin poprzedniego wieczoru. Był zawsze tak niegrzeczny, że markiz obawiał się, że Nanny mogła doznać szoku. Wszyscy krewni, u których kiedykolwiek przebywał, byli przerażeni jego nieuprzejmością, wulgarnym językiem i atakami wściekłości, w czasie których niszczył wszystko, co wpadło mu w ręce. W Rake było jeszcze gorzej. Przeklinał swoje guwernantki, które uważały jego zachowanie za skandaliczne. Na jedną z nich umyślnie wylał dzbanek wody, a na inną pełny kałamarz. Wszystkie natychmiast rezygnowały z posady.

Markiz nie mógł pojąć, jak to się stało, że jego brat, uroczy człowiek o spokojnym usposobieniu miał takiego syna. Czasem podejrzewał, że w jego rodzinie żył kiedyś może jakiś szaleniec, o którym on nie wiedział. Takie dziedzictwo mogło mieć również ogromny wpływ na jego dzieci.

Dotarłszy do leśnego domku, pozwolił Saraceniowi chodzić swobodnie po polanie, tak samo, jak poprzedniego dnia. Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka. Nanny, jak zwykle o tej porze dnia, przygotowywała w kuchni lunch.

- Witaj, Nanny - powiedział. - Jak się miewa twoja pacjentka?

- Dochodzi do siebie, paniczu Osbercie - odparła. - Nigdy nie widziałam ładniejszej panienki.

- Kim ona może być? Nanny wzruszyła ramionami.

- To prawdziwa tajemnica. Ale wiem jedno: nie powinna wędrować sama, bo może wpędzić się w kłopoty.

Słowo kłopoty przywiodło markizowi na myśl Robina.

- A jak zachowywał się mój bratanek? - zapytał.

- Jak prawdziwy dżentelmen - odpowiedziała i w oczach jej pojawił się filuterny błysk.

- Jeśli mówisz prawdę, to przed wiekami zostałabyś spalona na stosie, bo chyba rzuciłaś na niego jakiś urok.

- Tak samo jak czarownice doskonale znam się na swojej robocie.

Markiz roześmiał się.

- Czy Robin jest teraz z twoją podopieczną?

- Nie zostawia jej samej ani na minutę. Lepiej niech pan sam zobaczy.

- Właśnie zamierzałem to zrobić.

Wyszedł z kuchni i idąc korytarzem, skierował się w stronę pokoju, w którym leżała dziewczyna. Kiedy podszedł do drzwi, już miał zapukać, ale zauważył, że były lekko uchylone. Usłyszał głos Robina, a ponieważ był bardzo ciekaw, o czym rozmawiali pozostał na zewnątrz i słuchał.

- Przykro mi z powodu twojego kucyka - powiedział ktoś bardzo cicho.

- Rufus nie żyje - odparł Robin - ale nie będę po nim płakał, bo i tak nic nie mogę na to poradzić.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Ila. Przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się głos

Robina.

- Nie żyje i zakopią go w ziemi, tak jak moją matkę. - Powiedział to dziwnie gorzko, jak na kogoś, kto miał tyle lat, co on.

- Więc twoja mama poszła do nieba - powiedziała Ila. - Moja też.

- Ona nie jest w niebie - stwierdził z ogromnym przekonaniem. - Widziałem, że włożyli ją do trumny i zakopali w ziemi.

Wydał z siebie dźwięk brzmiący jak szloch i ciągnął dalej:

- Próbowałem ją odkopać, ale nie pozwolili mi.

Znowu nastąpiła cisza, którą tym razem przerwała Ila:

- Słuchaj Robin, muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Twoja mama nie jest w ziemi, to tylko jej ciało tam jest.

Zobaczyła, że Robin nie rozumie, więc wyjaśniała dalej:

- Jeżeli nosisz długo jakieś ubrania, co się z nimi w końcu dzieje?

- Robią się stare i zniszczone.

- Właśnie - zgodziła się Ila. - To samo dzieje się z naszym ciałem. Starzejemy się, a ono razem z nami i musimy je wyrzucić.

Robin słuchał jej uważnie.

- Kiedy ciało jest zakopywane w ziemi, ludzie nadal żyją, tyle tylko, że w niebie.

- Chcesz powiedzieć, że moja mama żyje?

- Tak - odrzekła. - Ona żyje. Troszczy się o ciebie, kocha cię, a gdy tego bardzo pragniesz, jest blisko przy tobie.

- Nie wierzę.

- To prawda - zapewniła go. - Czasami, kiedy jestem zdenerwowana albo nieszczęśliwa i nie wiem, co mam robić,

rozmawiam ze swoją mamą tak, jak ty możesz to robić ze swoją.

- Jak? Jak mogę to robić? - nalegał Robin.

- Kiedy poczujesz się smutny lub samotny, porozmawiaj z nią. Powiedz jej, że bardzo za nią tęsknisz i chciałbyś, aby była z tobą.

- I co się wtedy stanie?

- Będiesz wiedział wtedy, że jest blisko, a wsłuchując się w bicie swojego serca, usłyszysz jej głos, mówiący ci, co masz zrobić.

Robin wziął głęboki oddech.

- Czy to prawda? Przysięgnij, że nie kłamiesz!

- Przysięgam, że to prawda. To wszystko, w co sama wierzę. Nie oszukiwałabym cię.

- A czy mama widzi mnie teraz, gdy rozmawiam z tobą?

- Oczywiście, ale czasami bywa zajęta, więc musisz przywołać ją słowami, które w kościele nazywa się modlitwą.

Chłopiec myślał przez chwilę.

- Mam modlić się do mamy, a nie do Boga? - Modlisz się do nich obojga. A kiedy jest coś, co cię martwi, lub z jakiegoś powodu jesteś nieszczęśliwy, powiedz jej to tak, jakby była przy tobie.

- Czy ona naprawdę tam jest?

- Oczywiście! - powiedziała Ila.

- Czy często rozmawiasz ze swoją mamą? - zapytał Robin.

- Rozmawiam z nią każdego dnia, a ona pomaga mi, kiedy nie wiem, co robić. Wiesz, co ostatnio się wydarzyło? Powiedziała, abym uciekała. I jestem pewna, że to twoja mama sprawiła, że byłam we właściwym miejscu i czasie nad urwiskiem i zapobiegłam twojemu wypadkowi.

- Moja mama kazała ci mnie uratować?

- Ktoś mi podpowiedział, żebym podbiegła do twojego kucyka. To twoja mama uratowała ci życie, a ja byłam tylko jej narzędziem. Nastąpiła długa cisza.

- Nienawidzę tych, którzy zakopali moją mamę w ziemi. Chciałbym ich zabić, aby z nimi stało się to samo.

- Sądzę, że to, co mówisz, bardzo zasmuca twoją mamę. Ale rozumie, że do tej pory nikt ci nie wyjaśnił, iż opiekuje się tobą tak samo jak na ziemi.

- To dlaczego musiała mnie opuścić? - w jego głosie brzmiała rozpacz.

- Jeżeli zastanowisz się nad tym, sam znajdziesz odpowiedź.

Przez chwilę jego twarz miała dziwny wyraz, jakby rzeczywiście próbował odpowiedzieć na to pytanie.

- Odeszła, bo chciała być razem z tatą.

- Masz rację - przytaknęła Ila. - Na pewno bardzo się kochali.

- Ale mnie również kochali!

- Tak, i nadal tak jest. Pewnego dnia znowu wszyscy będziecie razem, jednak do tego czasu masz jeszcze wiele ważnych rzeczy do zrobienia.

- Ważnych rzeczy? - zdziwił się Robin.

- Oczywiście, jesteś mężczyzną, a każdy mężczyzna ma w swoim życiu coś ważnego do zrobienia, czego nie może za niego zrobić nikt inny.

Chłopiec zamyślił się.

- Jak sądzisz, co to będzie? - zapytał.

- Sam musisz się dowiedzieć. Ale niezależnie od tego, jakie okaże się twoje zadanie, musisz je wykonać naprawdę dobrze.

Ili wydawało się, że rozumiał to, co mówiła, więc ciągnęła dalej:

- Powinieneś starannie się do tego przygotować, to znaczy słuchać swoich nauczycieli i czytać książki.

- Czy ty czytasz książki?

- Kiedy tylko mam ku temu okazję - odparła. - To takie ekscytujące. Czytając książki, można razem z ich bohaterami robić wiele wspaniałych rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Można wspinać się na najwyższe góry świata, pływać w głębinach mórz i oceanów, odwiedzać egipskie piramidy i świątynie w Indiach. Otwierając książkę, przenosisz się do innego świata.

- Powiedz mi, co to za książki? Ila westchnęła.

- Musisz mi wybaczyć. Ale... nagle poczułam się... taka zmęczona. Nanny chciałaby, abym... się trochę przespała. Dokończymy naszą... rozmowę, kiedy się... obudzę. - Jej głos stawał się coraz mniej słyszalny.

Robin wstał z krzesła, na którym siedział do tej pory.

- Prześpij się. Zasłonę okno, aby ci nie przeszkadzało słońce.

- Dziękuję ci - dodała słabo Ila.

Markiz usłyszał kroki Robina i szybko wycofał się w głąb korytarza. Był całkowicie zaskoczony podsłuchaną przed chwilą rozmową. Do jego świadomości dotarło, że on i wszyscy, którzy dotąd opiekowali się chłopcem, postępowali w niewłaściwy sposób. Zrozumiał, iż śmierć matki była dla niego ogromnym szokiem. Nie pomyślał wcześniej, że to było przyczyną dziwnego zachowania bratanka i teraz to sobie wyrzucał. Ale przynajmniej znał już powody, dla których Robin nienawidził innych ludzi i niszczył wszystko, co wpadło mu w ręce. Był to bunt przeciwko niesprawiedliwemu losowi, który zabrał mu ukochaną osobę. Oczywiście, zarówno guwernantki, jak i krewni Robina, nie potrafili zrozumieć psychiki małego chłopca.

Ledwo udało mu się wycofać do kuchni, kiedy Robin wyszedł z pokoju dziewczyny.

- Witaj, Robinie - powiedział, idąc z powrotem w jego kierunku.

- Jak się masz, wujku Osbercie? - zawołał wesoło chłopiec.

- Przeprowadziłem ci nowego kucyka i chciałbym, abyś go obejrzał. Może wyda ci się trochę za duży, ale powinieneś go zobaczyć i zastanowić się nad tym.

Mówiąc to, zdawał sobie sprawę, że rzucał wyzwanie swojemu bratankowi, nie był jednak zaskoczony, słysząc jego odpowiedź:

- Mógłbym jeździć na koniu tak dużym jak twój, wujku.

- Jestem tego pewien - uśmiechnął się markiz - ale wolałbym, abyś najpierw spróbował jazdy na tym kucyku. Nazywa się Firefly.

Rozmawiając, wyszli przed dom. Robin zobaczył Firefly'a, obok którego stał służący. Kon był rzeczywiście większy od Rufusa, ale markiz nie mógł chyba wymyślić lepszego sposobu, aby na nowo zachęcić chłopca do konnej jazdy. Obaj podeszli do kucyka i Robin poklepał go.

Niewątpliwie ojciec musiał go nauczyć jak się obchodzić z nieznanymi końmi. Służący pomógł mu wsiąść.

- To chyba dobry pomysł - powiedział markiz - abyśmy razem wybrali się na przejażdżkę. Opowiesz mi, co myślisz o Firefly'u.

- Z przyjemnością, wujku. - Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

- Poczekaj tu - markiz zwrócił się do służącego. - Pani Wilcox poczęstuje cię na pewno filiżanką herbaty.

- Dziękuję, milordzie.

Odjechał, a Robin podążył za nim. Na płaskim terenie, tak, jak przypuszczał, jego bratanek znakomicie sobie radził z Firefly'em.

Jeździli przez ponad pół godziny, a kiedy wracali, Robin zapytał:

- Czy to teraz mój kucyk?

- Jeżeli tylko go chcesz. Sądzę, że wkrótce poprosisz o coś większego, ale do tego czasu opiekuj się nim.

- Nie będę zabierał go do lasu, gdzie jest mnóstwo gniazd os.

Markiz miał już powiedzieć, że byłoby to rozsądne, jednak w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Nie chcę, abyś obwiniał siebie za to, co stało się z Rufusem. Takie rzeczy zdarzają się bardzo rzadko, raz na sto lat.

Zauważył, że Robin słucha go uważnie, więc nie przerywał.

- Ja sam przez dwadzieścia sześć lat jeżdżę konno i żadnego konia, z którym miałem do czynienia, nie ugryzła osa.

- Mówisz mi to wszystko, żebym się nie denerwował, wujku Osbercie.

- To duży błąd denerwować się podczas jazdy, ponieważ konie są bardzo wrażliwe na reakcje jeźdźców.

- Ila powiedziała mi dziś rano, że kocha swojego konia bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

- Musimy więc i tobie znaleźć takiego, którego będziesz tak kochał.

- Może pokocham Firefly'a - pochylił się i pogłaskał szyję zwierzęcia - ale nie przekonam się o tym, dopóki nie spędzę z nim wystarczająco dużo czasu.

- Oczywiście - zgodził się markiz.

Pomyślał, że Robin był bardziej inteligentny niż sądził. A skoro był inteligentny, musiał być również wrażliwy.

- Muszę znaleźć kogoś, kto go zrozumie i nauczy wielu rzeczy. - postanowił.

Była pora lunchu, gdy dotarli do leśnego domku. Markiz przypomniał sobie, że miał jeszcze wpaść do zamku. Prawie zapomniał o spotkaniu z Lady Lavinia wyznaczonym na wczesne popołudnie. Pożegnał się więc z Robinem i nie wstępując do domku, zawrócił w kierunku Rake.

Zjadł samotnie lunch i pojechał do zamku. Po drodze myślał, że było to naprawdę coś wyjątkowego, iż komuś tak młodemu i ślicznemu, jak ta dziewczyna, udało się zrozumieć Robina. Dotąd nikt nie potrafił tego dokonać. Pod jej wpływem zmienił się nie do poznania. Jego matka byłaby lub, zgodnie z tym co mówiła Ila, jest z niego bardzo dumna.

- To wszystko wydaje mi się bardzo dziwne - powiedział głośno - i chyba graniczy z cudem.

Zbliżając się do domu diuka, niechętnie powrócił myślami do własnych problemów. Lady Lavinia oczekiwała go. Musiał się jej oświadczyć, a tego jeszcze nigdy nie robił. Było to coś zupełnie innego niż uprawianie miłości z jedną z tych wyrafinowanych piękności, które uwodziły go każdym swoim spojrzeniem, słowem czy gestem.

- Jeżeli mamy spędzić razem resztę życia - pomyślał ponuro - im szybciej się we mnie zakocha, tym lepiej.

Nie sądził, aby przyszło jej to z trudem. Wszystkie kobiety, które spotykał, ulegały jego urokowi, spotęgowanemu jeszcze faktem, że był markizem Rakemoore, pomyślał cynicznie.

- Mam wystarczająco dużo uroku, aby oczarować każdą młodą lady - dodał w myślach.

Jakkolwiek niechętnie odnosił się do tego małżeństwa, nie mógł dać tego do zrozumienia swojej przyszłej żonie. Zabrał

ze sobą diamentowy pierścionek, który poprzedniego dnia wyjął z sejfu. Nie należał wprawdzie do jego matki, ale był bardzo imponujący. Kiedy będzie wkładał go na jej palec, musi ją pocałować. Powinien także obiecać, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby uczynić ją szczęśliwą.

Miał wrażenie, że wydałoby mu się to znacznie łatwiejsze, gdyby Lavinia była jedną z tych „pięknych pań”, jak nazywała je Nanny. Patrzyłaby wtedy na niego pożądliwie, a jeśli oczy ich by się spotkały, byłiby świadomi narastającego między nimi napięcia, które w końcu przerodziłoby się w ogień spełnienia. Oboje płonęliby tym dzikim podnieceniem.

Na nieszczęście wiedział zbyt dobrze, że każdy ogień w końcu dogasa. Jeżeli chodziło o niego, zawsze zostawał tylko popiół. Ale z tą młodą dziewczyną nie będzie ognia, a jedynie poczucie obowiązku.

- Do diabła! - powiedział do siebie. - Powinienem raczej ożenić się z jakąś wdową.

Niestety, w tej chwili żadna wdowa nie przychodziła mu do głowy, a poza tym był już narzeczoną córki diuka i nie mógł nic na to poradzić.

Pomyślał o ślubie i doszedł do wniosku, że niezależnie od tego, jak ładna okaże się panna młoda, będzie nienawidził tej chwili. Nie kończące się uściski rąk i nieszczerze życzenia znudzą go, a cała ta farsa wzbudzi w nim uczucie wstrętu. Uczestniczył w zbyt wielu takich uroczystościach, aby zorientować się, że opierały się one głównie na pozorach. Wszystko, czego pragnął, to cieszyć się życiem tak, jak to czynił dotychczas, zanim królowej przyszło do głowy, aby uszczęśliwić go wbrew jego woli.

Próbował przekonać samego siebie, że rzeczywiście miał dużo szczęścia. Gdyby Peregrine nie był siostrzeńcem królewskiego szambelana, musiałby teraz oświadczać się

księżniczce Grecie, która swoim okropnie brzmiącym głosem wyraziłaby radość z faktu, że zostanie jego żoną.

- Muszę być chyba wdzięczny losowi - mówił do siebie głośno, zbliżając się do frontowych drzwi zamku Worth.

Stajenny czekał już, aby zabrać jego konia. Zsiadając ze swojego wierzchowca, markiz przypomniał sobie, że powinien się był przebrać. Bądź co bądź za kilka minut miał się oświadczyć. Niestety, pomyślał o tym za późno.

Diuk czekał na niego w gabinecie.

- Miło cię widzieć, drogi chłopcze - powiedział na powitanie. - Ale mam chyba dla ciebie złe wiadomości.

- Złe wiadomości? - powtórzył zdziwiony markiz.

- Moja mała Lavinia jest okropnie przeziębiona i obawiam się, że dziś nie będzie w stanie opuścić łóżka.

- To rzeczywiście bardzo przykra nowina.

- Zamierzałem listownie cię o tym powiadomić, abyś nie trudził się wizytą, ale pomyślałem, że mamy przecież bardzo wiele do omówienia.

- Tak, oczywiście - przytaknął markiz, myśląc jednocześnie, iż wiedział już chyba wystarczająco dużo o jego klaczach. Starał się też znaleźć jakieś wytłumaczenie, dzięki któremu mógłby szybciej opuścić zamek.

- Długo to rozważałem - zaczął diuk - i doszedłem do wniosku, że Trumpeter...

*

Markiz powstrzymał ziewnięcie. Nie miał pojęcia, jak ogromne wysiłki czynił jego przyszły teść, aby zainteresować go rozmową.

Dopiero dziś rano, po śniadaniu diuk został poinformowany, że Swallow powrócił do zamku poprzedniego dnia.

- Dlaczego nie powiedziano mi o tym wcześniej? - rozgniewany domagał się odpowiedzi.

Prawdopodobnie żaden ze służących nie widział w tym nic dziwnego, gdyż lady Lavinia często wysyłała swojego konia samego do stajni.

- Panienska mogła mieć jakiś wypadek, głupcy! - krzyczał.

- Ale strzemiona były przerzucone przez siodło, wasza miłość.

Diuk musiał przyznać im rację, bo gdyby rzeczywiście spadła z konia, nie zrobiłaby tego. W głębi duszy zaczęło kiełkować w nim podejrzenie, że Lavinia uciekła.

- Ta mała idiotka nie zdaje sobie sprawy, jaką partię odrzuca - nie przestawał o tym myśleć podczas rozmowy z markizem.

Ila obudziła się dopiero na lunch. Nanny przygotowała piezzonego kurczaka, młode ziemniaki i małe fasolki wyhodowane w warzywnikach Rake. Skończywszy jedzenie, dziewczyna powiedziała:

- Dziękuję, to było bardzo smaczne. Teraz czuję się znacznie lepiej.

- Czy nadal boli cię głowa? - troskliwie zapytała Nanny.

- Czuję tylko delikatne pulsowanie w skroniach, ale nie mam już wrazenia, jakby moja głowa chciała pęknąć.

- Wkrótce będziesz całkowicie zdrowa - zapewniła Nanny.

- Chciałbym, abyś wybrała się ze mną na konną przejażdżkę - przerwał im Robin, wchodząc właśnie do pokoju. - Mam nowego kucyka i koniecznie musisz go zobaczyć.

- Nowego kucyka! - wykrzyknęła Ila. - Jak się nazywa?

- Firefly i jest dużo większy od Rufusa.

- Powinieneś więc być bardzo ostrożny,

- To samo powiedział mój wujek Osbert, kiedy dziś rano zabrał mnie na przejażdżkę. Firefly to szybki konik.

- A ty jesteś dobrym jeźdźcem - pochwaliła go. - Pewnego dnia pokażę ci Swallowa.

W tym samym momencie, wymieniając imię swojego konia, pomyślała, że popełniła błąd. Jeżeli wszczęto już poszukiwania lady Lavinii Worth, mogło to pomóc w jej odnalezieniu, gdyż ludzie mieszkający w okolicach zamku wiedzieli, że często jeździła na koniu o takim imieniu.

- To tajemnica - mówiła teraz szeptem. - Nie chcę, abyś komukolwiek powiedział o moim koniu.

W ten sposób ludzie, którzy mnie szukają, łatwo wpadną na mój ślad.

- Czy to źli ludzie? - próbował dowiedzieć się Robin.

- Nie - odparła. - Ale chcą zmusić mnie do zrobienia czegoś, co uważam za złe.

- I już zawsze będziesz musiała przed nimi uciekać?

- Mam nadzieję, że nie... Jednak przynajmniej do czasu, kiedy zmienią zdanie i nie będę musiała tego robić.

- Możesz ukryć się tutaj.

- To byłoby wspaniałe, ale dla twojej niani byłby to z pewnością duży kłopot.

- To nie jest moja niania - wyjaśnił chłopiec - tylko wujka Osberta. Gdy był już za duży, aby się nim zajmowała, podarował jej ten domek.

- A jak nazywa się twój wujek? - zapytała Ila. Robin roześmiał się.

- Oczywiście, zapomniałem. Nie spotkałaś go jeszcze. Ale on już cię widział, kiedy leżałaś nieprzytomna.

- Widział mnie! - wykrzyknęła. - Nie sądzisz, że komuś o mnie powie?

- Na pewno nie. Powiedziałem mu, iż chcesz pozostać w ukryciu, a on obiecał zachować tajemnicę.

- Mam nadzieję. Ale nadal nie wiem, jak on się nazywa.

- To markiz Rakemoore - odrzekł Robin. - Mieszka w wielkim, wielkim domu, który nazywa się Rake.

Ila znieruchomiała. Poczła nagle, jakby jej głowa znowu zaczęła pękać z bólu. Czy to możliwe, że ratując Robina, dostała się do domu należącego do markiza? Przez moment nie była w stanie myśleć logicznie ani nic powiedzieć.

- Myślałem, że nienawidzę wujka Osberta - ciągnął - ale dziś był dla mnie taki miły i razem jeździliśmy konno.

Uśmiechnął się do niej, nie przerywając.

- Wcześniej widywałem go jedynie w towarzystwie innych osób.

Chłopiec po raz pierwszy przyznawał się do swoich uczuć.

- Kiedy przyjechał tu, a ja byłem... nieprzytomna

- drżącym głosem zaczęła Ila - czy... mówił coś o... mnie?

- Nie, a dziś nawet nie wstąpił, aby cię zobaczyć. Ila lekko odetchnęła. Wiedziała jednak, że musi uciekać. Jeżeli markiz przyjdzie tu znowu, na pewno zada jej kilka pytań. Byłoby to straszne, gdyby dowiedział się, kim jest.

- Muszę uciekać! - powtórzyła w duchu.

Jedyna trudność polegała na tym, że czuła się jeszcze bardzo słaba. Podnosząc do góry głowę, odniosła wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje.

- Jutro z pewnością będzie lepiej - pomyślała optymistycznie.

Wieczorem rzeczywiście poczuła się trochę silniejsza, mimo iż Robin zasypywał ją pytaniami, na które nie bardzo chciała odpowiadać. W końcu opowiedziała mu jedną z historii o podróżach po Indiach. Autor książki, którą przeczytała, widział Ganges, Taj Mahal, a następnie powędrował do Nepalu, aby zamieszkać u podnóży Himalajów. Z łatwością przekazała całe piękno wędrowki odbytej przez podróżnika, bowiem czytając tę historię po raz

pierwszy, miała wrażenie, że sama zwiedza wszystkie te miejsca.

Robin siedział na brzegu jej łóżka, więc nie musiała podnosić głosu. Zdawał się zafascynowany każdym słowem, a kiedy skończyła, powiedział:

- Teraz wiem, co będę robił, gdy dorosnę!

- Co takiego? - chciała wiedzieć zaskoczona Ila.

- Zostanę podróżnikiem. Będę poznawał świat i zabiorę jeden z aparatów wujka, aby mieć potem dużo zdjęć.

Ila roześmiała się.

- To będzie wspaniałe. A ja będę wklejała je do albumu.

Oczy Robina zaświeciły się, a ona mówiła dalej:

- Mógłbyś napisać książkę, w której zostałyby umieszczone te zdjęcia. Na pewno każdy chciałby ją przeczytać.

Chłopiec klasnął w dłonie.

- Najpierw jednak musisz nauczyć się języków obcych.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo gdybyś pojechał do jakiegoś kraju, nie rozumiałbyś, co mówią jego mieszkańcy o świątyniach i innych wspaniałych budowlach.

- Masz rację. Będę musiał poznać ich język. Rozmawiali o wszystkich miejscach, które kiedyś odwiedzi, tak długo, aż w końcu Nanny musiała poprosić Robina, aby opuścił pokój dziewczyny.

- Nasza pacjentka potrzebuje odpoczynku - powiedziała. - Nie wolno jej przemęczać, bo znowu będzie ją bolała głowa.

- Nie chciałbym tego - przyznał Robin.

Szybko zeskoczył z łóżka i z niepokojem w głosie zwrócił się do Ili.

- Dobrze się czujesz? Czy nie za bardzo cię zmęczyłem?

Uśmiechnęła się do niego.

- Nie, ale chciałabym się trochę zdrzemnąć przed kolacją.

- Czy mogę zjeść z nią kolację? - zapytał Robin Nanny.
- Jeżeli sam przyniesiesz do pokoju tacę z jedzeniem i inne potrzebne rzeczy - odpowiedziała.

- Tak zrobię.

- W takim razie wyjdź teraz na dwór i odetchnij świeżym powietrzem. Pan Wilcox znalazł w lesie jakieś pisklęta, które wypadły z gniazd, mógłbyś więc mu pomóc.

Robin wydał okrzyk radości i wybiegł z pokoju.

- To najbardziej miły chłopiec, jakiego spotkałam - powiedziała Ila.

- Ja myślę tak samo - odparła Nanny. - Cały ten nonsens o tym, jak bardzo jest niegrzeczny, wymyślili ludzie, którzy nie potrafili się nim zająć.

- Potrzebuje kogoś takiego, jak ty, nianiu.

- Ty również radzisz sobie z nim całkiem dobrze. Ila roześmiała się.

- Może powinnam zająć się opieką nad małymi dziećmi? Nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy.

- To chyba dobry pomysł. Niektórzy ludzie mają to po prostu we krwi.

Poprawiła poduszki pod głową swojej pacjentki, zasłoniła okno i wyszła. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Ila zaczęła zastanawiać się nad tym, co usłyszała.

- Jeżeli tam, gdzie się ukryję, będzie szkoła - pomyślała - spróbuję dostać w niej pracę. A jeśli mi się nie uda, otworzę własną klasę dla takich małych chłopców, jak Robin.

Potem zasnęła.

*

Kiedy Ila obudziła się, a Nanny rozsunała zasłony, słońce zachodziło w popołudniowym blasku.

- Podam kolację wcześniej - powiedziała Nanny.

- Mój mąż je zwykle o wpół do siódmej i nie chciałabym gotować dwóch posiłków w różnych godzinach.

- Oczywiście, że nie. A twoje jedzenie jest tak znakomite, że gotowa jestem jeść wtedy, gdy tobie jest najwygodniej.

Robin przyszedł, aby opowiedzieć jej o pisklętach, które jemu i mężowi Nanny udało się umieścić w gnieździe.

- Były bardzo głodne i miały szeroko otwarte dzióbki.

- Sądzę, że ty czujesz to samo - zażartowała Nanny

- więc chodź ze mną do kuchni po tacę z jedzeniem, jeżeli chcesz zjeść w towarzystwie panienki Ili.

- Pewnie - odparł Robin z entuzjazmem. - Myślałem o tych wszystkich uroczych historiach, które mi dziś opowiadała.

- Żadnych historii wieczorem! Oboje macie wcześniej iść do swoich łóżek.

Kiedy wyszła z pokoju, Ila roześmiała się.

- Musimy zrobić tak, jak nam kazała. Nie ma sensu kłócić się.

- Lubię nianię - przyznał Robin. - Moja ostatnia opiekunka była okropna, a pierwszej nie pamiętam.

- No, cóż, ta jest naprawdę wyjątkowa.

- I robi pyszne jedzenie - dodał chłopiec. - Dużo lepsze niż to, które dostaję w Rake.

- Czy spożywasz posiłki w towarzystwie swojego wujka?
- zapytała Ila.

Przecząco pokręcił głową.

Było tak, jak się spodziewała. Markiz dał swojemu bratankowi dach nad głową, ale nie miłość i zainteresowanie, którego tak bardzo potrzebował.

- Myślę, że on jest podobny do męża Clementine - pomyślała - zarozumiały i napuszczony. Nie interesowałby się nawet własnymi dziećmi, gdyby je miał.

Przyszło jej nagle do głowy, że to ona mogłaby być matką jego dzieci, i zadrżała na tę myśl. Uciekała przed mężczyzną, który nigdy nie zrozumiałby tego wszystkiego, co ją

interesowało. Jak mógł pozwolić temu chłopcu wierzyć, że jego matka została zakopana w ziemi, nie wyjaśniając, iż nadal jest blisko niego i kocha go? Ale ona sama również nigdy nie rozmawiała o tym ze swoim ojcem, podobnie jak jej siostry ze swoimi mężami.

- Jeśli wyjdę za mąż - postanowiła - to tylko za człowieka, który mnie będzie rozumiał. W przeciwnym razie byłabym nieszczęśliwa i wolałabym umrzeć.

Pojawiła się Nanny, aby wysłać Robina do łóżka i pomóc Ili przygotować się do snu.

- Markiz odwiedzi jutro swojego bratanka - powiedziała - i z pewnością zada ci kilka pytań.

- Czy słyszałaś o tym od Robina? - zaniepokoiła się Ila.

- Tak, jego wujek zabrał go dziś na konną przejażdżkę, a potem pojechał prosto do Rake.

Nastąpiła chwila ciszy, którą w końcu przerwała Ila.

- Sądzę, że markiz jest bardzo ważną osobą.

- Rzeczywiście, bardzo ważną. I kto może obwiniać go za to, że sprawia mu to przyjemność? Ale często powtarzam mu, że to bardzo źle, iż ma wszystko, czego zapragnie.

- Wszystko, oprócz mnie - dodała cichutko Ila.

ROZDZIAŁ 6

Ila szła na palcach wzdłuż korytarza w kierunku frontowych drzwi. Wstała bardzo wcześnie z nadzieją, że będzie się czuła wystarczająco dobrze, aby opuścić leśny domek. Z ulgą stwierdziła, że głowa przestała już ją boleć, a nogi nie odmawiały posłuszeństwa. Wszystkie ubrania, które Nanny zdążyła rozwiesić w szafie, spakowała i obwiązała białym szalem.

Kiedy założyła strój do konnej jazdy i była już gotowa, pomyślała, że nie może odejść bez pożegnania. Z jednej z szuflad wyjęła kartkę papieru i narysowała na niej sylwetkę piramidy, meczetu i bardzo wysokiej góry. Na drugiej stronie napisała:

Droga Nanny!

Dziękuję ci za okazaną dobroć i opiekę. Teraz muszę ruszać w drogę, ale proszę, powiedz Robinowi, że będę o nim myślała i modliła się za niego.

Spędziłam cudowne chwile w twoim domku. Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Ila

Położyła list na poduszce i cichutko, aby nie obudzić nikogo, otworzyła drzwi do pokoju.

Z taką samą ostrożnością uchyliła drzwi wejściowe, które na szczęście były dobrze naoliwione.

Potem znalazła się w lesie. Poruszała się szybko między drzewami, w kierunku ścieżki, na której po raz pierwszy zobaczyła Robina.

Wiedziała, że jej nagłe odejście zasmuci go, ale za wszelką cenę musiała uniknąć spotkania z markizem.

- Nie mogę pozwolić, aby mnie zobaczył - powtarzała. - Jeżeli tak się stanie, może odgadnąć, kim jestem.

Było to dość prawdopodobne. Ojciec mógł opisać kolor jej włosów, markiz mógł też zobaczyć portret matki, do której

była bardzo podobna. Również sam fakt zaginięcia lady Lavinii Worth wzbudziłyby w nim pewne podejrzenia.

Dotarła do końca ścieżki, gdzie znajdowało się dobrze jej znane skalne urwisko. Skręciła jednak w prawo, ku innej ścieżce, która miała ją zaprowadzić w dół, do doliny. Rozpościerały się w niej dwie wsie, a w jednej z nich z pewnością mieszkała panna Dunkill. Kiedy poprzedniego wieczoru Nanny pomagała jej przygotować się do snu, niby przypadkiem zapytała o nazwy tych miejscowości.

- Jedna nazywa się Bantry - odpowiedziała Nanny - i jest większa. Druga, położona bliżej, to Fording Field.

Ostatnia nazwa zabrzmiała Ili znajomo. Dziewczyna była pewna, że tam właśnie znajdzie pannę Dunkill.

- Przynajmniej mogę o nią zapytać. Jeśli tam nie mieszka, pójdę dalej.

Ponieważ ścieżka była wyboista i Ila łatwo mogła się potknąć, droga w dół zabrała jej sporo czasu. W końcu zeszła ze zbocza, ale czuła się zmęczona. Był to pierwszy wysiłek od czasu, gdy zraniła się w głowę, usiadła więc pod drzewem, aby trochę odpocząć.

Wokoło było bardzo cicho, a wschodzące słońce rzucało pierwsze promienie na uszpioną jeszcze ziemię.

Złapała się na tym, że jej myśli cały czas krążyły wokół Robina, który na pewno się zmartwił, nie zastawszy jej w pokoju.

- To bardzo nieładnie z mojej strony tak go zostawić - pomyślała - ale co innego mogłam zrobić?

Znowu zobaczyła smutne, blade twarze swoich sióstr. Słyszała rozpacz w głosie Phyllis, opowiadającej, jak bardzo była nieszczęśliwa.

- Mam pójść ich śladem? - zapytała. - Wolałabym chyba umrzeć.

Jednak w tej samej chwili, ponieważ świat był taki piękny, poczuła nieodpartą chęć życia. Chciała galopować na swym ukochanym koniu i marzyć, że pewnego dnia spotka mężczyznę, który ją pokocha, a ona odwzajemni jego uczucie. Będą mieli dużo dzieci, a wśród nich syna takiego jak Robin, i zawsze będą się o nie troszczyć i kochać je.

- Nie mogę poślubić markiza, bo wiem, że nigdy nie zrozumie moich myśli i marzeń. Traktowałby nasze dzieci tak samo, jak Robina.

Nagła myśl, że mógłby jej teraz szukać razem z ojcem, przestraszyła ją, dlatego skoczyła na równe nogi i ruszyła w kierunku Fording Field. Była to niewielka wieś, z małymi chatami krytymi strzechą i starym, normańskim kościołkiem. Widać też było stojące w rzędzie domki dla starców i sierot, mające bardzo przyjemny wygląd. Centralnym punktem wsi były dwa sklepy. Ila zauważyła, że do jednego z nich, prawdopodobnie z towarami spożywczymi, wchodziły kobiety z chustami na głowach i koszykami w rękach. Pomyślała, że idąc między nimi wzbudzi podejrzenia, bo nikt jej tu nie znał, więc nie zbliżała się do nich.

Teraz chaty znajdowały się w większych odległościach od siebie, a otaczające je niewielkie ogrody pełne były kwitnących kwiatów. Kiedy się zastanawiała, czy zapukać do jednej z nich i zapytać o pannę Dunkill, zobaczyła starszą kobietę z miłą twarzą, idącą drogą w jej stronę. Miała ona pusty koszyk i Ila pomyślała, że szła do tego samego sklepu co inne mieszkanki wsi.

Kiedy mijały się, zapytała:

- Przepraszam, chciałabym, aby zechciała mi pani powiedzieć, czy mieszka tu panna Dunkill?

Kobieta utkwiała w niej wzrok.

- Pyta pani o pannę Dunkill? - powtórzyła, jakby miała wrażenie, że się przesłyszała.

- Tak - odpowiedziała Ila.

- W takim razie jest pani z pewnością jej krewną - powiedziała kobieta. - Wiedziałam, że ktoś z rodziny wcześniej czy później tu się zjawi.

Zobaczyła zdziwienie na twarzy dziewczyny, więc wyjaśniła.

- Obawiam się, że mam dla pani złe wiadomości. Panna Dunkill, Boże świeć nad jej duszą, została pochowana trzy dni temu.

- Pochowana? - Ila była zaskoczona. - Więc ona nie żyje!

- Przykro mi. Ale umarła w spokoju, nie cierpiała.

- To przynajmniej jakieś pocieszenie. Miałam jednak nadzieję, że się z nią zobaczę.

- Szkoda, że pani nie zdążyła. Teraz jest już za późno.

Ila nic na to nie odpowiedziała zastanawiając się, co powinna w tej sytuacji zrobić.

- Jestem pewna - ciągnęła kobieta - że chciałaby pani zobaczyć jej chatę. Skoro jest pani krewną zmarłej, chata będzie należeć do pani.

Dziewczyna była kompletnie zaskoczona.

- Do mnie? - wyszeptała, nic nie rozumiejąc.

- Do pani, moja droga. Naturalnie, pod warunkiem, że nikt z jej krewnych nie będzie miał większych praw. Proszę za mną, zaprowadzę.

Zawróciła w kierunku, z którego przyszła, a Ila podążyła za nią.

- Panna Dunkill odziedziczyła tę chatę po swoim bracie i była tam naprawdę bardzo szczęśliwa.

Ila pomyślała, że im mniej będzie mówić, tym lepiej, skinęła więc jedynie głową, wyrażając tym samym swoje zainteresowanie.

Kobieta opowiadała dalej:

- Wszyscy we wsi bardzo ją lubili, każdy wpadał do niej, aby podzielić się radościami i troskami. Będzie nam tu jej bardzo brakować.

Nie przestawała mówić, kiedy dotarły do pokrytej strzechą chaty, stojącej prawie na końcu wsi. Ogród był dobrze utrzymany, a do frontowych drzwi prowadziła wyłożona kamiennymi płytami ścieżka.

Kobieta poszła przodem i wyciągnęła do góry rękę, aby wziąć klucz położony na belce nad drzwiami. Wsadziła go do zamka i, otworzywszy drzwi, weszła do środka. Ila poszła za nią.

Zobaczyła małe, bardzo czyste pomieszczenie, wygodnie urządzone. Była to kuchnia, ale na podłodze leżały chodniki. W pokoju, po drugiej stronie, leżał piękny dywan, pomyślała więc, że musiał to być salon.

- Znajdzie tu pani wszystko w idealnym porządku. Mieszkańcy naszej wsi powtarzali zawsze, że w domu panny Dunkill nie ma nawet odrobiny kurzu, a żadna mysz nie odważy się tu zajrzeć.

Roześmiała się, ubawiona własnym żartem.

- Jest pani bardzo uprzejma, pokazując mi to wszystko - powiedziała Ila. - Mogę spytać, jak się pani nazywa?

- Nazywam się Cosnett, kochanie. Mój mąż jest listonoszem. To zajęcie zabiera mu dużo czasu, chociaż mieszkamy w tak małej miejscowości.

Ila rozejrzała się dookoła.

- Byłoby bardzo miło zostać tutaj - przyznała.

- Wszyscy będziemy cieszyć się z pani obecności - odparła pani Cosnett. - Obawialiśmy się, że zamieszka tu ktoś, o kim nic nie wiemy. Żyjemy tu jak jedna wielka rodzina i wolelibyśmy, aby nikt z zewnątrz nie mącił naszego spokoju.

Mówiła to z takim przekonaniem, że Ila nie mogła powstrzymać uśmiechu. Wiedziała, że we wsiach położonych

niedaleko zamku patrzą na obcych, jak na przybyszów z innych państw.

- Kiedy się pani rozgości, na pewno chciałaby pani coś zjeść. Jeśli się nie mylę, w kredensie jest herbata.

Ila otworzyła kredens i zobaczyła mnóstwo słoiczków. Niektóre z nich miały naklejone etykiety z nazwami wypisanymi przez pannę Dunkill.

Pani Cosnett zaczęła czytać.

- Niech zobaczę! Och, tu jest herbata, ostatnie pół funta. Przydałoby się trochę mleka i bochenek świeżego chleba.

- Czy mogę dostać to wszystko w tutejszym sklepie? - mówiąc to poczuła się nagle bardzo zmęczona, więc usiadła na krześle.

- Oczywiście. A jak pani tu przyszła?

- Ścieżką prowadzącą w dół zbocza, niedaleko urwiska.

- To okropne! - wykrzyknęła pani Cosnett. - Odgłos tych osuwających się skał śmiertelnie mnie wystraszył.

- Na pewno!

- To niebezpieczne miejsce. Słyszałam, że trzy dni temu zginął tam kucyk. Biedne stworzenie! Ktoś powinien postawić ogrodzenie na górze.

Mówiła bez przerwy, nie oczekując żadnej reakcji ze strony Ili.

- Wygląda pani na bardzo zmęczoną. Przygotuję filiżankę herbaty, a później pójdę do sklepu i przyślę jednego z chłopaków ze sprawunkami. To oszczędzi pani wysiłku. Powinna pani trochę odpocząć.

- Pani jest bardzo miła, naprawdę. Jestem ogromnie wdzięczna.

- Przekona się pani, że w Fording Field każdy pomoże krewniej panny Dunkill - zapewniła pani Cosnett - a zwłaszcza tak uroczej jak pani. Nie musi się pani też martwić o żadne domowe naprawy. Nasi mężczyźni zajmą się tym.

Zastanowiła się przez moment.

- Jakie pokrewieństwo łączyło panią ze zmarłą?
- zapytała w końcu.

Ila zdecydowała się szybko.

- Panna Dunkill była moją cioteczną babką.
- Tak właśnie myślałam.

Nie przerywając rozmowy, pani Cosnett podpaliła w piecu i nastawiła wodę na herbatę. Po pięciu minutach naląła wrzątku do brązowej filiżanki, do której wcześniej nasypała dużą łyżkę herbaty,

- Musi pani na razie wypić bez mleka - powiedziała, podając Ili filiżankę. - Ale jest przynajmniej „mokra i orzeźwiająca”, jak mawiał mój ojciec.

Roześmiała się, gdy dziewczyna spojrzała na nią zdumiona.

- W czasach swojej młodości był marynarzem i zawsze, kiedy tylko mógł, używał marynarskich określeń.

- Skoro idzie pani teraz do sklepu, czy mam od razu dać pieniądze na potrzebne rzeczy? - spytała Ila.

- Nie trzeba się z tym spieszyć. Chłopak przyniesie rachunek, który może pani uregulować, kiedy trochę pani odpocznie i będzie miała ochotę iść do pana Johnsona.

Ciągnąc dalej, znowu się roześmiała.

- Powiem jedno: wszyscy mieszkańcy Fording Field będą chcieli zobaczyć nową sąsiadkę i cieszyć się, że to ja właśnie pierwsza panią poznałam.

Szybko ruszyła w stronę drzwi, jakby nagle dotarło do niej, że, gdy znajdzie się w sklepie, będzie mogła opowiedzieć o przybyciu uroczej krewnej panny Dunkill.

- Niech się pani czuje jak u siebie w domu! - zawołała na pożegnanie. - Najlepiej będzie, jeśli się pani położy, bo wygląda pani na bardzo zmęczoną.

To właśnie Ila zamierzała zrobić. Na piętrze, na które prowadziły bardzo wąskie schody, znajdowały się dwie sypialnie. Pościel była czysta, a wokoło panował porządek, świadczący o tym, że ktoś zaglądał tu po śmierci właścicielki domu.

Mało pamiętała swoją dawną guwernantkę i bardzo tego żałowała, ale w tej chwili nic nie mogło zakłócić szczęścia wywołanego faktem, że była w takim miejscu, gdzie ojciec na pewno jej nie znajdzie.

- Nawet nie przyjdzie mu do głowy, że mogłabym ukryć się we wsi - pomyślała. - Szuka mnie pewnie u moich przyjaciół, do których, jego zdaniem, mogłam zwrócić się o pomoc.

Zgodnie z obietnicą pani Cosnett, młody chłopak przyniósł koszyk z zakupami. Były w nim jajka, ziemniaki, bekon, kiełbasa, krążek masła i świeżo upieczony chleb. Ila znalazła też pół kwarty mleka i pachnący miód od tutejszego pszczelarza.

- To prezent - wyjaśnił chłopiec, wskazując na miód. - Panna Dunkill była dla niego taka dobra, kiedy chorował, teraz on może odwdzińczyć się jej krewnej.

Powiedział to wszystko bardzo szybko, nie robiąc odstępów między wyrazami. Dziewczyna sądziła, że próbował przekazać dokładnie to, co mu kazano.

- Proszę, podziękuj w moim imieniu temu miłemu panu i powiedz, że mam nadzieję wkrótce go poznać.

- Dobrze, panienko - odparł chłopiec i odwrócił się do wyjścia.

Kiedy to zrobił, Ila wcisnęła mu w dłoń monetę trzypensową, co wywołało u niego ogromną radość.

- Dziękuję, panienko, dziękuję! Chciałem kupić sobie cukierków.

Wybiegi szybko, jakby w obawie, że się rozmyśli i zabierze mu pieniądze. To przywiodło jej na myśl Robina. Żałowała, iż nie mogła dać mu cukierka i poradzić, które książki powinien czytać.

- Mogłam zabrać go ze sobą - pomyślała, zdając sobie jednocześnie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie wtedy by się naraziła.

Na lunch usmażyła sobie dwa jajka na bekonie, a potem wdrapała się na górę po wąskich schodach. Obie sypialnie miały spadziste sufity i żaden wysoki mężczyzna nie mógłby stać w nich wyprostowany. W tej chwili jednak najbardziej potrzebowała odpoczynku i, położywszy głowę na poduszce, natychmiast zasnęła. Gdyby ktokolwiek zapukał do drzwi, nie usłyszałaby go.

*

Kiedy obudziła się, było późne popołudnie. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyła długie cienie rzucane przez drzewa, pomiędzy którymi przesączały się słabe promienie słońca.

- Muszę zapalić światło - powiedziała do siebie. Zeszła na dół, rozpałała w piecu i nastawiła wodę,

aby przygotować sobie filiżankę herbaty. Ku wielkiej radości, znalazła dwie lampki oliwne. Jedna z nich stała w rogu kuchni i wcześniej musiała jej po prostu nie zauważyć. Obie były do połowy wypełnione oliwą, a ich knoty wyglądały na nowe. W szufladzie było jeszcze pełne pudełko świec, które mogły oświetlać drogę do sypialni.

Panna Dunkill urządziła się tu bardzo wygodnie. Eleganckie narzuty na krzesła i haftowane poduszeczki podpowiedziały Ili, czym zajmowała się ona w wolnych chwilach.

- Dziękuję ci, Boże, że pozwoliłeś mi znaleźć się tutaj - szeptała w głębi serca słowa wdzięczności.

Drgnęła, usłyszawszy pukanie do drzwi. Przeszła przez kuchnię, aby je otworzyć i zaskoczona, ujrzała na zewnątrz Robina. Chłopiec wydał z siebie okrzyk radości i wpadł do środka.

- Znalazłem cię!... Znalazłem! - wołał zdyszczanym głosem.

Zarzucił jej ręce na szyję, a dziewczyna upadła na kolana. Tak mocno przyciskał policzek do jej policzka, że ledwo mogła złapać oddech.

- Myślałem, iż cię straciłem - powiedział. - Więc szukałem cię i szukałem.

Nagle wybuchnął płaczem. Ila tuliła go do siebie mocno i, szepcząc, próbowała uspokoić:

- Już dobrze, kochanie, już dobrze. Znalazłeś mnie. Ale jak sam pokonałeś taką drogę?

Robin nie był w stanie odpowiedzieć, więc pomogła mu wstać i zaprowadziła go do kuchni, gdzie usadowiwszy się w wygodnym fotelu, posadziła go na kolanach. Przez dwie lub trzy minuty chłopiec szlochał jeszcze, a ona mówiła:

- Nie płacz, jestem tutaj przy tobie, a ty byłeś bardzo dzielny.

W tej samej chwili zastanawiała się, co się stanie, gdy markiz dowie się o zaginięciu bratanka. - Nie mogłem... stracić cię. Szukałem cię w... lesie.

- A teraz mnie odnalazłeś - powiedziała - i musisz zjeść kolację, bo na pewno jesteś bardzo głodny.

- Czy jesteś bezpieczna? - zapytał Robin podnosząc głowę, aby spojrzeć na nią.

- Tak, w tej uroczej chatce jestem bezpieczna. Ale martwi mnie, że przyszedłeś tu za mną. Nanny będzie zaniepokojona.

- Powiedziałem jej, że muszę cię odnaleźć. A kiedy przeszukałem las, zszedłem w dół ścieżką do innej wioski.

- To musiała być Bantry - wtrąciła Ila.

- Pytałem ludzi, czy widzieli panią ze złotymi włosami, ale śmiali się ze mnie, więc przyszedłem tu.

Przerwał, chcąc złapać oddech, a potem dokończył:

- Jeden chłopak powiedział mi, że ktoś nowy wprowadził się do chaty na końcu wsi.

- To w taki sposób znalazłeś mnie! Teraz idź umyć ręce, a później pomożesz mi przygotować coś do jedzenia. - Mówiąc to, otarła łzy z policzków Robina. Sama miała ochotę się rozpłakać, tak była wzruszona jego determinacją, aby ją odnaleźć. Musiało to być dla niego naprawdę trudne, nie znał nawet jej prawdziwego imienia.

Robin posłusznie poszedł do małego pomieszczenia znajdującego się za kuchnią i służącego jako łazienka. Ila naląła do miednicy trochę gorącej wody, aby mógł odświeżyć się po tej wędrówce, a sama wróciła do kuchni. Po jej porannym posiłku zostało jeszcze kilka jajek, bekon i kiełbaski. Usmażyła to wszystko i zrobiła grzanki. Kiedy chłopiec przyłączył się do niej, na jego policzkach nie było już śladu łez.

- Pachnie wspaniale, a mój brzusek jest naprawdę pusty - zawołał wesoło.

- Na pewno tak jest. Siadaj do stołu - zaprosiła go. - Jest dużo jedzenia, więc będziesz miał czym go napęłnić.

Jedząc, opowiadał, jak odkryli jej nieobecność. Rano, Nanny myślała, że Ila jeszcze śpi i poszła do pokoju dopiero wtedy, gdy wszyscy skończyli śniadanie.

- I znalazła moją kartkę... - przerwała mu Ila.

- Tak, Nanny znalazła ją i powiedziała „odeszła, ale nie jest wystarczająco silna, aby sama wędrować”.

Robin przełknął duży kawałek kiełbasy i mówił dalej:

- Wtedy przyszło mi do głowy, że może poszłaś do lasu. Pobiegnę tam cię poszukać, ale nie znalazłem żadnego śladu.

- Nanny zmartwi się, jeśli nie wrócisz.

- Ja nie wracam - odparł stanowczo. - Zostaję z tobą. Mieszkając tu sama na pewno będziesz potrzebowała kogoś, kto się tobą zaopiekuje.

Ila uśmiechnęła się.

- To bardzo miło z twojej strony. Ale wujek będzie cię szukał.

- Nawet do głowy mu nie przyjdzie, że mogę być tutaj.

Wiedziała, że to prawda, ale nie mogła zatrzymać Robina. Markiz zrobi wszystko, aby go odnaleźć i, być może, dopisze mu większe szczęście niż jej ojcu. Próbowwała znaleźć jakieś rozwiązanie, zdając sobie sprawę, że chłopiec nie zechce wrócić bez niej.

- Co mam robić? - pytała samą siebie.

Nie mówiła do niego nic, pozwalając rozkoszować się kolacją. Kiedy skończył, pomyślała, że musiał być zmęczony. Cały dzień wędrował. Najpierw parę godzin chodził po lesie, aż w końcu przyszło mu do głowy, żeby zejść ścieżką w dół. Był niespokojny i na pewno bał się, chociaż teraz nie przyznałby się do tego.

- Spałam całe popołudnie - powiedziała głośno - ale mimo to idę do łóżka wcześniej.

- Zostaję z tobą! - jeszcze raz podkreślił Robin, a w jego głosie zabrzmiała agresywna nuta.

- Oczywiście, że tak - przytaknęła. - Na szczęście, na górze jest bardzo wygodna sypialnia, zaraz obok mojej. Jest po lewej stronie korytarza.

Uśmiechnęła się.

- Niestety, obawiam się, że nie mam dla ciebie nocnej koszuli. Kiedy zdejmiesz wierzchnie ubranie, będziesz musiał spać w tym, co masz na sobie.

- Nie szkodzi. Więc ty śpisz w pokoju obok?

- Tak, i przyjdę na górę, jak tylko pozmywam naczynia. Zajrzę do ciebie, aby powiedzieć dobranoc.

- To byłoby miłe - ucieszył się Robin.

Poszedł na górę, a Ila zebrała naczynia do miednicy i umyła je. Gdy skończyła, zauważyła, że na zewnątrz zrobiło się szaro, zapaliła więc jedną z lampek oliwnych i postawiła ją na kuchennym stole. Przyszło jej też do głowy, żeby zanieść Robinowi świeczkę, na wypadek, gdyby w nocy obudził się i nie mógł zasnąć. W kredensie znalazła mały świecznik, do którego wsadziła nową świecę i zapaliwszy ją, poszła na górę.

Robin czekał na nią. Wyglądał jak mały, bardzo wrażliwy chłopiec, którego łatwo można było zranić. Postawiła świecznik na nocnym stoliku i usiadła na łóżku.

- Przede wszystkim - zaczęła - chciałabym podziękować ci za to, że myślałeś o mnie i pokonałeś tak długą drogę, aby zaopiekować się mną.

- Nanny powiedziała, że jesteś zbyt piękna, aby móc zostawić cię samą. Ja też uważam, że jesteś śliczna.

- Dziękuję - odparła. - To najmiłszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Wzięła jego dłonie w swoje.

- Teraz chcę podziękować Bogu za to, że dotarłeś tu bezpiecznie. To na pewno twoja mama pokazała ci drogę do mnie.

- Rozmawiałem z nią tak, jak mnie uczyłaś - przyznał Robin. - Kazała mi pytać o piękną dziewczynę ze złotymi włosami.

Ila uśmiechnęła się.

- Miło mi to słyszeć. Ale poza tym, muszę przyznać, że jesteś bardzo rozumnym chłopcem.

Objęła go i pocałowała. Od śmierci matki musiał za tym bardzo tęsknić. Chłopiec mocno przytulił się do niej.

- Ale nie uciekniesz ode mnie w nocy? - zapytał słabym głosem.

- Oczywiście, że nie. Rano będę tu, po przeciwnej stronie korytarza.

- Czy opowiesz mi jutro jakąś historię?

- Na pewno. Ale będziemy też mieli wiele rzeczy do zrobienia. Musimy rozejrzeć się po chacie i zwiedzić Fording Field.

- To będzie zabawne.

Pocałowała go jeszcze raz i tym razem odwzajemniła pocałunek. Zanim otworzyła drzwi, zdmuchnęła świecę.

- Śpij dobrze, kochanie - powiedziała tak samo, jak mawiała jej matka, kiedy wieczorami przychodziła do jej pokoju. - I niech aniołowie czuwają nad twoim spokojnym snem.

Zamknawszy za sobą drzwi, zeszła na dół, aby zabrać lampkę oliwną. Stojąc przy kuchennym stole, usłyszała pukanie. Zastanawiała się czy była to pani Cosnett. Nikt inny, kto mógłby złożyć wizytę o tak późnej porze, nie przychodził jej do głowy.

Otworzyła drzwi. Na zewnątrz stał mężczyzna. Gdy zbliżyła się do niego, a światło z lampki rozjaśniło jego twarz, serce Eli zamarło. Nikt nie musiał jej wyjaśniać, kim był człowiek stojący przed nią. Eleganckie ubranie do konnej jazdy, błyszczące buty i kapelusz osłaniający ciemne włosy mogły należeć tylko do jednej osoby. Patrzyła na niego ze zdziwieniem, niezdolna oddychać ani myśleć.

Nagle zorientowała się, że przynajmniej nie wyglądał tak, jak tego oczekiwała. Był młodszy i przystojniejszy. Chyba nigdy tak przystojnego mężczyzny nie spotkała.

Cisza, która między nimi zaległa, zdawała się trwać w nieskończoność, aż w końcu markiz zapytał:

- Czy mogę wejść?

- T... tak, o... oczywiście - wyjąkała Ila.

Odsunęła się na bok, aby go wpuścić. W kuchni wydał się jeszcze wyższy i lepiej zbudowany niż na zewnątrz.

Jakby wracając do realnego świata, powiedziała:

- Robin... jest tu... bezpieczny.

- Pomyślałem, że właśnie tu go znajdę - odrzekł markiz. -

- Ale naturalnie, denerwowałem się.

- Przykro mi. Nie... przypuszczałam, że... pójdzie za mną.

Markiz spojrział na nią. Ila stała po drugiej stronie stołu. Ponieważ była przerażona, jej oczy zdawały się dominować nad resztą twarzy. Były to najbardziej zdumiewające oczy, jakie markiz kiedykolwiek widział. Jej włosy błyszczały jak złoto na tle białych ścian. Przypominała nieziemską istotę i dlatego nagła myśl, że jak nimfa mogła zniknąć w leśnym stawie, nie wydała mu się nieprawdopodobna.

- Czy mogę usiąść? - znowu przerwał milczenie.

- Przepraszam... powinnam była... to panu... zaproponować. Ale pańska wizyta... jest dla mnie... niespodzianką.

- Dotarcie tu zabrało mi dość dużo czasu - przyznał.

- Jak... jak mnie pan... znalazł?

Rozsiadł się wygodniej na krześle, które panna Dunkill obiała czerwoną materią.

- To Nanny - odrzekł. - Pomyślała, że mogła pani pójść do jednej z wiosek, więc przyjechałem najpierw do Fording Field.

- I... sądził pan, że... Robin będzie ze mną?

- Miał nade mną kilka godzin przewagi. Sądziłem, że, jeśli nie uda mu się pani odnaleźć, wróci do leśnego domku.

- Wykazał się dużą odwagą... szukając mnie. Przyszedł tu... ponad godzinę temu i był... bardzo zmęczony...

- I położyła go pani do łóżka - dokończył za nią.

- Ja także zamierzałam się już położyć. Markiz roześmiał się.

- Gdybyście tylko wiedzieli, jakie zamieszanie wywołało wasze zniknięcie! Byłem przerażony, co mogło wydarzyć się Robinowi i pani.

Ila oderwała od niego swój wzrok.

- Chyba tak naprawdę nie interesuję pana.

- To nieprawda - zaprzeczył stanowczo. - Uratowała pani życie mojemu bratankowi i jestem za to pani dłużnikiem. Zaskarbiła sobie też pani przyjaźń Nanny, która prawie płakała po odejściu swojej pacjentki.

Przerwał, a ponieważ Ila nic nie mówiła, ciągnął dalej: - Stała się pani kimś bardzo ważnym dla Robina, w przeciwnym razie nie szukałby pani. Mógł wpaść w niezłe tarapaty, gdyby tutaj nie dotarł.

- Bardzo mi przykro - powiedziała w końcu słabym głosem. - Naprawdę, ...nie chciałam nikogo tak... zmartwić.

- Myślę, że to właśnie będzie pani robić, niezależnie od tego, dokąd pani pójdzie.

Nie wiedziała, czy odebrać to jako naganę czy komplement i zaczerwieniła się.

- Jest pani bardzo piękna, Ila! - Markiz powiedział spokojnie, - Zamierza pani sama zamieszkać w tej chacie? A w ogóle do kogo ona obecnie należy?

Ila już miała odpowiedzieć, że była własnością jej dawnej guwernantki, ale szybko się zorientowała, że nie powinna tego mówić.

- Nie widzę powodów... dla których nie miałabym... to zostać - odrzekła. - Przynajmniej... przez jakiś... czas.

- Nie widzi pani powodów? - powtórzył markiz. - Szuka pani wykrętów, ale musi pani zdawać sobie sprawę, że skoro jest pani tak piękną „panienką”, to niemożliwe, aby mieszkała pani sama.

- Jestem pewna, że... w Fording Field będę bezpieczna - tym razem jej głos zabrzmiał prowokująco.

- Być może, ale nadal pozostaje jeszcze problem Robina.

Ila nie wiedziała, jak na to zareagować, zdawała sobie jednak sprawę, że najwyraźniej oczekiwał, aby coś powiedziała.

- Może... mógłby zostać... ze mną... kilka dni.

- Wątpię, czy będzie z tego zadowolony. Poza tym powinna pani obawiać się plotek, jakie na pewno powstaną. Nie tylko ludzie ze wsi będą o pani mówić, ale także część hrabstwa. Dziewczyna splotła dłonie.

- Czy wie pan, że się ukrywam?

- Wszyscy jesteśmy tego świadomi - uśmiechnął się. - Ale to będzie dla pani coraz trudniejsze.

- W takim razie... muszę znaleźć... inne miejsce. Markiz uklęknął przy niej.

- Nie byłoby łatwiej, gdyby zaufała mi pani? - zapytał. - Jestem uważany za rozsądnego człowieka, który potrafi pokonywać różne trudności. Mógłbym może rozwiązać pani problemy.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę... panu powiedzieć! Uniósł lekko brwi.

- Chyba nie jestem w stanie przekonać pani, chociaż, może...

Ila wstała.

- To niemożliwe! Absolutnie niemożliwe!

Przeszła przez pokój, jakby szukając przed nim ucieczki. Markiz patrzył na nią. Żadna z kobiet, które dotąd spotykał, nie była tak piękna. Była to uroda niepowtarzalna, niezwykle był również kolor jej włosów. Chcąc zmienić temat, zapytała:

- Nie wiem jeszcze, jak nie znając nawet mojego imienia, odnalazł mnie pan? Markiz uśmiechnął się nieznacznie.

- Kiedy dotarłem do Fording Field, było to już proste - odparł. - Wstąpiłem do pastora, a on poinformował mnie, że krewna jednej najstarszej i najbardziej szanowanej mieszkanki wsi, która ostatnio zmarła, przybyła właśnie, aby odziedziczyć jej chatę.

- I to było takie łatwe! - krzyknęła Ila.

- Gdy opuszczałem plebanię - ciągnął - żona pastora dodała, że z tego, co słyszała od służącej, do wioski przyszedł mały chłopiec i też skierował się do chaty panny Dunkill.

- To nieuczciwe! Biedny Robin spędził cały dzień, aby mnie odnaleźć.

- Ale udało mu się - mimo wszystko markiz był dumny ze swojego bratanka. - Pierwszy raz od śmierci matki zależy mu na kimś. Szukałby pani, niezależnie od tego, jak długo by to trwało.

Ila poczuła łzy wzruszenia napływające do oczu.

- Kocham go - szepnęła - tylko nie wiem, co mam teraz zrobić. - Mówiła słabym głosem, myśląc jednocześnie, że nikt nie umiałby zrozumieć jej trudnego położenia.

- Wiem, co zrobimy! - wykrzyknął nagle markiz. - Właśnie znalazłem rozwiązanie!

- Co to takiego? - zapytała.

- Może zostać tu pani przez dzień lub dwa, chociaż na pewno wywoła to komentarze, których wolałaby pani uniknąć - wyjaśnił. - Potem zostanie pani oficjalną guwernantką Robina i będzie się pani nim zajmować.

Patrzyła na niego zdziwiona. Podobna myśl nigdy nie przyszła jej do głowy. To mogło jeszcze bardziej skomplikować sprawę.

Markiz, jakby czytając w jej myślach, dodał:

- Nie sądzę, aby chciała pani zamieszkać w Rake. Mam też wiele innych posiadłości.

- Chce pan przez to powiedzieć, że... miałabym przenieść się do jednej z nich razem z... Robinem?

Mówiła wolno, chcąc przekonać samą siebie, że nie śni. Wydawało się niepojęte, iż mężczyzna, przed którym uciekała, oferował jej posadę. Starał się również uchronić ją przed plotkami.

- Tak, jeśli nie chce pani złamać serca Robina. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że mój bratanek ma serce. To będzie chyba dla niego najlepsze rozwiązanie, a pani znajdzie upragniony azyl.

Ila opadła na krzesło, jakby zabrakło jej siły.

- Muszę to przemyśleć! - szepnęła.

- Oczywiście - markiz wstał.

- To, co zamierzam teraz zrobić, Ila - powiedział - to wrócić do domu, wiedząc, iż oboje jesteście bezpieczni.

Zawahał się przez moment.

- Ale musi mi pani obiecać na wszystko, co pani drogie, że nie ucieknie pani, jak dziś rano!

- Nie zrobię tego, obiecuję! - zgodziła się.

- Bardzo dobrze. W takim razie wracam do Rake, a jutro razem zastanowimy się, gdzie chciałaby pani zamieszkać.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Ma pani naprawdę duży wybór, a skoro lubi pani las, mam też dom w New Forest.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Niech pani lepiej się położy. Jutro wrócę i przywiozę trochę rzeczy dla Robina. I niezależnie od tego, dokąd pojedziemy, oboje będziecie potrzebować koni.

- Skąd pan wie, że... uwielbiam... jazdę konną?

- Na pewno świetnie radzi pani sobie z końmi, ale jeżeli naprawdę jest pani nimfą z leśnego stawu, co przyszło mi do głowy po pani zniknięciu, może woli pani pływać.

Ila w zdumieniu wpatrywała się w niego. Czy to możliwe, aby mówił o nimfach, które, jak zawsze w to wierzyła, żyły gdzieś w środku lasu?

Markiz odwrócił się w kierunku drzwi.

- Mam nadzieję, że dotrzyma pani swojej obietnicy. W przeciwnym razie, aby zmusić panią do tego, spędzę noc na sofie w pokoju gościnnym.

Zabrzmiało to bardzo wesoło i Ila roześmiała się,

- Będziemy tu rano, milordzie!

Otworzył drzwi, ale zanim opuścił chatę, jeszcze raz odwrócił się.

- Dobranoc - pożegnał ją. - Śpijcie dobrze.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Ila nie mogła powstrzymać się i podbiegła do okna. Markiz zagwizdał na swojego konia, który skubał trawę gęsto rosnącą przed domem. Wiedziała, że nazywał się Saracen i był jednym z najbardziej wyjątkowych ogierów. Koń zareagował na wezwanie swojego pana, który zgrabnie usadowił się w siodle. Świadomy, że Ila obserwowała go przez okno, uchylił kapelusza.

- Chyba żaden mężczyzna nie prezentuje się lepiej w siodle - pomyślała. - Jakby koń i jego jeździec stanowili jedność.

Musiała to przyznać przed samą sobą: markiz był inny! Zupełnie inny niż myślała!

ROZDZIAŁ 7

Markiz nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, a jego myśli nieustannie krążyły wokół Ili. Jak mogła zostać z Robinem i jednocześnie ukrywać się? Próbował odgadnąć, czego się obawiała. Kiedy otworzyła mu drzwi, w jej oczach pojawił się strach dotąd nie spotkany przez niego u żadnej kobiety.

- Przed czym ucieka? - pytał sam siebie.

W końcu, zaraz po wschodzie słońca, zadzwonił po służącego.

- Wcześniej pan dziś wstał, milordzie,

- Mam wiele do zrobienia.

- Czy wracamy do Londynu, milordzie?

- Nie! - powiedział to tak stanowczo, że służący nie ośmielił się zadawać więcej pytań.

Kazał osiodłać Saracena i wyprowadzić go przed dom. Gdy znalazł się na dole, wybiegł prosto na dziedziniec. Nie zjadł nawet śniadania, bowiem wcześniej postanowił je zjeść w towarzystwie Robina i Ili.

Głęboko w podświadomości tkwiła obawa, że Ila może nie dotrzymać obietnicy i znowu zechce uciekać.

- Z jakichś powodów chciała przecież opuścić tę okolicę - mruknął do siebie. - Ale nie spodziewa się, że przyjadę do nich tak wcześnie.

Była dopiero szósta, kiedy opuścił Rake i pogalopował polami w kierunku lasu. Mógł wybrać inną drogę do Fording Field, ale sam nie przyznając się przed sobą, dlaczego to robi, pojechał przez las. Dotarłszy do leśnego stawu, długo patrzył na gładką tafłę wody, starając się nie zgłębiać przyczyny, dla której wybrał dłuższą drogę.

Gdy przybył do wsi, na głównej ulicy zobaczył dwie kobiety spieszące do sklepu, co nasunęło mu myśl, że Ila prawdopodobnie nie ma wystarczającej ilości jedzenia na

śniadanie dla nich trojga. Niespodziewana wizyta Robina i jego wilczy apetyt były chyba główną przyczyną wyczerpania się jej zapasów żywnościowych.

Markiz zatrzymał się i wstąpił do sklepu z artykułami spożywczymi. Za ladą stały dwie starsze kobiety najwyraźniej zdumione pojawieniem się nieznanego.

- Dzień dobry! - powiedział, zwracając się do mężczyzny obsługującego klientów. - Potrzebuję trochę jedzenia i jestem pewien, że mogę tu wszystko dostać,

- Na pewno, milordzie. To wielki honor gościć pana w naszym sklepie.

Markiz uśmiechnął się.

- Wiesz kim jestem?

- Oczywiście, milordzie. Wszyscy pamiętamy, jak sześć lat temu przybył pan na otwarcie przytułku dla ubogich i, później, kiedy osunęło się zbrocze.

- Tak, naturalnie. Miło was znowu zobaczyć - wyciągnął rękę w stronę właściciela sklepu, a mężczyzna uściśnął ją.

- Wasza lordowska mość z pewnością chciałby kupić coś dla tej młodej damy i panicza, którzy zamieszkali w chacie panny Dunkill.

- Ten chłopiec to mój bratanek - wyjaśnił. - Spędził tę noc ze swoją guwernantką.

Zauważył, że starsze kobiety z zainteresowaniem przysłuchiwały się rozmowie. Może przynajmniej udało mu się ochronić reputację Ili. Wiedział doskonale, o co go podejrzewały, skoro składał wizytę tak pięknej dziewczynie.

Pan Johnson wkładał do koszyka wiele różnych rzeczy, a kładąc w końcu na wierzchu bochenek chleba, powiedział:

- To chyba wszystko, milordzie. Zaraz pošle chłopaka, aby zaniósł koszyk.

- Jesteś bardzo uprzejmy - odrzekł markiz. - I nie zapomnij o mleku dla mojego bratanka.

Zawahał się, a potem zapytał:

- Czy mam zapłacić teraz?

- Ależ nie, milordzie. Chłopak przyniesie wszystko - odparł. - I jest jeszcze niewielka suma z wczorajszego dnia.

- Przyślij oba rachunki do mnie do chaty. Dobrego dnia.

Uchylił kapelusza w kierunku kobiet. Patrzyły na niego z wyrazem uwielbienia i podekscytowania na twarzach.

Wyszedł ze sklepu i, wskoczywszy na konia, pojechał w stronę chatki. Ponieważ było dopiero przed siódmą, pomyślał, że Ila może jeszcze śpi. Ale kiedy zapukał, drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Spojrzała na niego, a ich oczy podobnie, jak poprzedniego wieczoru, spotkały się. Spoglądali na siebie i żadne nie mogło oderwać wzroku od drugiego.

- Jest pan... wcześniej - powiedziała zamiast powitania.

- Przyjechałem na śniadanie - odparł markiz. Przesunęła się, pozwalając mu wejść do środka.

- Skoro nic pan jeszcze nie jadł, musi pan być głodny. Nie mogę panu jednak nic zaproponować. Razem z Robinem zjedliśmy wczoraj wszystko.

- No, cóż, jestem bardzo przewidujący - uśmiechnął się - nasze śniadanie jest już w drodze. - Mówiąc to, ciągle na nią patrzył.

Obudziwszy się wcześniej rano, Ila ubrała się w jedną z lekkich sukienek, które zabrała ze sobą. Delikatny muślin przylgnął do ciała, a zielony kolor nadawał jej wygląd prawdziwej nimfy. Ponieważ nie spodziewała się markiza tak wcześniej, przewiązała włosy zieloną wstążką nad karkiem, a złote loki spływały w dół pleców.

Spojrzenie markiza wprowadziło ją w zakłopotanie.

- Przepraszam, ale... nie zdążyłam się... nawet uczesać. Chciałam tylko... rozpaść w piecu..., a kiedy Robin się... obudzi, mogłabym... iść do sklepu.

- Musi być bardzo zmęczony po wczorajszych przygodach - zauważył markiz.

- Prawie spał, gdy przyszedłam pocałować go na dobranoc.

- Pozwolił się pani pocałować?

- Nawet sam to zrobił po tym, jak mnie odnalazł. Pomyślałam, że od śmierci matki tęsknił za kimś, kto by go kochał.

- Na pewno - zgodził się markiz.

Rozległo się pukanie. Zanim Ila zdążyła zareagować, markiz otworzył drzwi. Ten sam chłopiec, któremu dała wczoraj trzypensówkę, przyniósł koszyk.

- To pańskie zamówienie, milordzie - powiedział.

- Mleko jest w puszcze.

Markiz wziął od niego koszyk i postawił go na stole. Ila zauważyła, że chłopiec stał, najwyraźniej czekając na coś.

- Dałam mu wczoraj trzy pensy - szepnęła.

- Dziś możemy chyba podwoić stawkę - markiz mrugnął do niej porozumiewawczo. Dał chłopcu sześć pensów, a malec był zbyt podniecony, aby cokolwiek powiedzieć, więc wybiegł z chaty, energicznie zamykając za sobą drzwi.

- To wszystko, czego potrzebujemy. Jestem bardzo głodny, a Robin na pewno będzie czuł się podobnie, kiedy zejdzie na dół.

- Jeśli będziemy rozmawiać cicho - w jej głosie zabrzmiała prawdziwa troska - nie obudzimy go. Potrzebuje dużo snu po tym wszystkim, co wczoraj przeszedł.

- Ja również tego potrzebowałem - przyznał markiz

- ale nie zmrużyłem oka. Bałem się, że może pani nie dotrzymać obietnicy i znowu zniknąć.

Ila spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie zrobiłabym tego..., to byłoby... nie w porządku.

- Skąd mogłem mieć tę pewność? - zapytał. - Jadąc przez las zatrzymałem się nawet przy stawie na wypadek, gdyby pani tam była.

Wydawało jej się to takie dziwne, iż podobnie jak ojciec miał leśny staw. Ale jeszcze dziwniejsze było to, że jej osoba kojarzyła mu się z tym miejscem, które w rzeczywistości tak bardzo kochała. To wywołało w niej nowy, nieznany dotąd rodzaj lęku.

Pochyliła się nad koszykiem, aby przejrzeć jego zawartość. Milcząc, wyjmowała wszystkie produkty i rozkładała je na talerzach. Były tam jajka, bekon i kiełbaski, tak samo, jak poprzedniego dnia, tylko tym razem w większych ilościach.

- Napije się pan kawy czy herbaty? - zapytała. Wcześniej, przeszukując kredens, natknęła się na paczkę kawy.

- Wszystko mi jedno. Decyzję pozostawiam pani. Sprawiał wrażenie, jakby myślał o czymś zupełnie innym niż śniadanie. Usiadł na tym samym krześle, na którym siedział wczorajszego wieczoru, i obserwował Ilę krzątającą się po kuchni.

- Widzę, że jest pani doświadczoną kucharką.

- Moja matka wpoila mi i moim siostrze, że umiejętność gotowania jest bardzo ważna.

- Wiec ma pani siostry - zauważy! spokojnie markiz. - Kiedy w końcu opowie mi pani o sobie?

Zdając sobie sprawę z popełnionej nieostrożności, nie odpowiadała.

- Nie mogąc zasnąć poprzedniej nocy - mówił dalej - zastanawiałem się, w którym z moich domów mogłaby pani zamieszkać. Doszedłem jednak do wniosku, że cały ten pomysł nie jest chyba najlepszy.

Ila odwróciła się od pieca i spojrzała na niego.

- Dlaczego pan tak sądzi? - zapytała.

Sama o tym pomyślała, ponieważ jednak usłyszała to od niego, przestraszyła się. Być może nie chciał już, by zajmowała się Robinem. Ale jeśli ich rozdzieli, chłopiec będzie zachowywał się tak samo jak przedtem. W jej głowie panował chaos, mimo to chciała znać odpowiedź na swoje pytanie.

Markiz zawahał się, szukając odpowiednich słów. W końcu powiedział:

- Jest pani zbyt piękna. Gdziekolwiek pani pójdzie, zwróci pani na siebie uwagę. A jeżeli zamieszka pani w którejś z moich posiadłości, ludzie zaczną plotkować.

Upłynęło kilka sekund, zanim zrozumiała faktyczne znaczenie tych słów. Zaczerwieniła się i odwróciła od niego głowę.

- Byłoby rozsądniej, gdyby opowiedziała mi pani o przyczynach ucieczki i o tym, co zamierza pani robić w przyszłości.

Skoro należała do wyższych sfer, mógłby przekonać któregoś ze swoich krewnych, aby zatrudnił ją w swoim domu w charakterze damy do towarzystwa. W ten sposób uniknęłyby plotek, a Ila znalazłaby bezpieczne schronienie.

Nie odpowiadała, więc przynaglił ją:

- Musimy to przedyskutować!

- Nie sędzę, abym... musiała to robić.

- To bardzo nieuprzejma uwaga. Przecież staram się pomóc pani.

- Ale... nie może mi pan... pomóc!

- Nie wolno pani zostawić Robina!

- Jeśli będę musiała...

- Jak może pani być aż tak okrutna? - wykrzyknął. - Złamie pani serce temu dziecku, a także...

Umilkł, usłyszawszy kroki na schodach. Chwilę później w kuchni zjawił się Robin, ubrany tylko w koszulę i spodnie. Podbiegł do Ili.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział - ale mógłbym spać i spać. Byłem chyba bardzo zmęczony.

Ila pochyliła się nad nim, pocałowała go, a jego ramiona oploty jej szyję.

- Ale już nie śpię i jestem strasznie głodny! Dopiero teraz zauważył markiza.

- Wujek Osbert! Dobrze, że jesteś.

- Przyjechałem, aby razem z wami zjeść śniadanie. Twoje szczęście, że wstałeś, bo inaczej sam pochłonałbym wszystko, a dla ciebie nic by nie zostało.

Żart rozśmieszył chłopca.

- Ila nie pozwoliłaby na to.

- Oczywiście, że nie. Jedzenia jest dużo i wystarczy dla wszystkich.

- Czy przyjechałeś na Saracenie, wujku? - zapytał Robin.

- Tak, jest przed domem - odparł markiz.

- Jak tylko zjem śniadanie, wyjdę do niego.

Ila postawiła przed nimi talerze z jajkami, kiełbasą i bekonem. Dla siebie przygotowała smażone jajka. Bochenek chleba pachniał wspaniale i markiz z Robinem jedli duże kromki grubo posmarowane masłem. Grzanki doskonale smakowały z miodem, który Ila dostała wczoraj od pszczelarza.

- Musimy odwiedzić go i podziękować mu za prezent

- zwróciła się do chłopca.

- Bardzo chciałbym zobaczyć ule. Tata próbował hodować pszczoły, ale myszy dostały się do uli i wyjadły cały miód.

- To prawdziwe nieszczęście! - wykrzyknął markiz.

- Ale ja sędzę, że to nie myszy, tylko mały chłopiec myszkował tam. - Roześmiał się, drażniąc Robina.

Nagła myśl zaskoczyła Iłę. Markiz, którego tak się obawiała, siedział razem z nią przy jednym stole i czuł się bardzo swobodnie w tej malutkiej kuchni. Cała trójka mogła uchodzić za zwykłą, wiejską rodzinę, cieszącą się pierwszym wspólnym posiłkiem tego dnia.

- Jest inny... Całkiem inny niż myślałam - powtarzała sobie po raz kolejny. W końcu zaczęła bać się własnych myśli.

Po śniadaniu Robin bardzo chciał wyjść, aby zobaczyć Saracena. Kiedy Ila wróciła ze spiżarni, już go nie było.

- Czy nic mu się nie stanie? - zapytała troskliwie.

- Z Saracenem będzie bezpieczny - zapewnił ją markiz. - I myślę, że trochę swobody dobrze mu zrobi.

Zamknął drzwi. Ila podeszła do okna, aby upewnić się, że Robinowi rzeczywiście nic nie grozi, a on powiedział:

- Dlaczego chce pani sprawić ból temu chłopcu? Jestem pewien, że jeśli znowu pani odejdzie, będzie pani szukał.

Nie poruszyła się. Wiedziała, że mówił prawdę.

- Co mam robić? - pytała siebie cichutko. Nie słyszała, jak wstał i stanął za nią.

- Robin kocha panią - powiedział - i ja także, Ilo!

Dziewczyna znieruchomiała. Pomyślała, że to, co usłyszała, było wytworem wyobraźni. Głosem, który zupełnie nie przypominał jej własnego, zapytała:

- Co... pan mówi? Ja nie... nie rozumiem,

- Ja też siebie nie rozumiem - odparł markiz. - Ale, gdy pierwszy raz zobaczyłem cię, zabrałaś moje serce.

W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta, aż Ila zadrżała.

- Jesteś taka piękna! I zupełnie inna od wszystkich kobiet, które spotkałem, jakby nierealna.

Roześmiał się, ale nie był to wyraz radości, a raczej lekkiego zdenerwowania

- Na początku myślałem, że to z powodu wypadku Robina. Ale teraz nie mogę myśleć o nikim innym, tylko o tobie. Kiedy wczoraj wieczorem otworzyłaś mi drzwi, zrozumiałem, że to miłość. Nigdy w życiu nie byłem zakochany!

- To... to niemożliwe!

- Jeśli to nie miłość, to, proszę, powiedz mi, co powoduje, że chciałbym zdjąć z nieba wszystkie gwiazdy i księżyc i złożyć je u twoich stóp.

Poczuła, iż zbliżył się do niej.

- Zaniosę cię aż do słońca, a potem odwiedzimy te wszystkie cudowne miejsca, o których opowiadałaś Robinowi.

Nie mogła uwierzyć, kiedy mówił dalej:

- Narysowałaś mu piramidę. Zabiorę cię tam i będziemy oglądać je w świetle zachodzącego słońca. Spróbujemy razem odkryć sekret Egipcjan, który umożliwił im zbudowanie czegoś tak wspaniałego.

Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na niego. Wziął głęboki oddech, zanim dodał:

- Będę się tylko obawiał, że duszki zamieszkujące nie zbadane jeszcze szczyty uznają, że należysz do nich, i stracę cię.

- Jak może pan... mówić coś takiego o mnie? - wyszeptała.

- Mówię to, bo wiem, że jak nikt inny będziesz potrafiła to zrozumieć.

- To jest to, co... - urwała nagle.

- To, co czujesz - dokończył. - Czy nie rozumiesz, kochanie, co się stało? Coś, co zawsze uważałem za niemożliwe. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Ila z trudem chwyciła oddech.

- Czy to prawda?

- Udowodnię ci to - odparł i objął ją bardzo delikatnie.

Jego usta dotknęły jej warg. Przez chwilę dziewczyna była zbyt oszołomiona, aby zdać sobie sprawę z tego, co się stało. Kiedy pocałował ją, poczuła, jakby promienie słoneczne przenikały przez jej ciało. Nigdy dotąd nie zaznała podobnego uniesienia. To było coś więcej niż piękno lasu, śpiew ptaków, a nawet zapach kwiatów. Mogła to wyrazić jedynie muzyka. Nie przestawał jej całować i poczuła, że naprawdę zabrał ją aż do słońca. Byli spowici jego blaskiem. Miłość, miłość, której pragnęła, uczucie nie do opisanie i nie do wyrażenia. Zbliżali się do siebie coraz bardziej i w końcu stanowili jedność, złączeni niewytłumaczalną miłością, której żadne nie potrafiło się oprzeć. To uczucie było tak intensywne, że aż sprawiało Ili ból. To był cud oślepiający swoim blaskiem. Szepnęła coś i przytuliła głowę do jego policzka.

- Kochana, najdroższa, znalazłem cię - mówił markiz, a jego głos drżał. - Jesteś moja, nigdy cię nie stracę i nie pozwolę ci odejść.

Jakby w obawie, że to może się stać, odwrócił jej twarz ku swojej i znów zaczął ją namiętnie całować.

Nie bała się już, wiedziała, że to najwspanialsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć. Markiz był mężczyzną jej marzeń: jechał obok niej przez las i wierzył w to wszystko, co ona. Rozumiał ją, jak nikt dotąd. Kiedy znowu podniósł głowę, powiedziała trochę nieporadnie:

- ...Kocham cię... kocham cię!

- Skoro tak bardzo się kochamy - odparł - pobierzmy się.

Przez moment nie była w stanie poruszyć się, a w końcu dotarło do niej, co się stało. Markiz Rakemoore całował ją! Mężczyzna, przed którym uciekała i który nie miał pojęcia, kim naprawdę była. Chciała jeszcze raz ukryć głowę w jego ramionach, ale nie pozwolił jej na to.

- Dlaczego jesteś zdenerwowana? - zapytał.

- Skąd... skąd wiesz, że... jestem zdenerwowana?

- Wiem o tobie wszystko: o czym myślisz, o czym marzysz. Jesteś częścią mnie, tak jak ja jestem częścią ciebie.

- Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Czy dotyczy to twojej ucieczki? To już nieważne. Teraz niczego nie musisz się obawiać

- Ale... boję się.

- Czego?

- Ponieważ... możesz się zezłościć i... nie kochać mnie już.

Markiz roześmiał się, ale tym razem jego śmiech wyrażał prawdziwą wesołość.

- To niemożliwe. Powiedz mi, dlaczego się ukrywasz i przed kim?

Zapadła cisza. W końcu Ila drżącym głosem wyszeptała:

- Przed tobą.

Patrzył na nią, a na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Przede mną?

- Jestem... jestem Lavinia Worth!

Przez ułamek sekundy zdawało się, że markiz zamienił się w głąz.

- Proszę, nie bądź zły! - błagała Ila. - Tata powiedział mi, że mam poślubić mężczyznę, którego... nigdy przedtem nie widziałam. Moje siostry są takie... nieszczęśliwe żyjąc w podobnych małżeństwach. Pomyślałam, iż... wolałabym umrzeć.

- Więc uciekałaś przede mną.

- Uciekałam przed markizem Rakemoore, o którym myślałam, że jest pompatyczny... arogancki... pozbawiony wrażliwości i... nigdy nie pojmie moich uczuć do... lasu.

- Chyba zaczynam rozumieć.

- Ale... ale ty jesteś... inny niż... sądziłam.

- Ty także - przyznał markiz. - Oczekiwałem nudnej, głupiutkiej debiutantki. - Wydał krótki dźwięk

przypominający śmiech. - Jak mogłem domyślić się, że jesteś córką diuka? Dla mnie jesteś leśnym duchem, marzeniem zamkniętym w moim sercu od dzieciństwa, kiedy zmarła moja matka.

- Och, kochanie, czy... tęskniłeś za nią tak, jak Robin? - zapytała.

- Tęskniłem aż do bólu - odrzekł. - Ale nie było przy mnie kogoś takiego, jak ty, kto powiedziałby mi, że ona nadal opiekuje się mną, kocha mnie i jest blisko, gdy jej potrzebuje.

- Skąd wiesz, że... mówiłam to Robinowi?

- Podśledzałem, stojąc pod drzwiami - wyznał. - Wtedy też dotarło do mnie, iż nie mogę bez ciebie żyć!

- Czy... rozumiesz, dlaczego... uciekałam?

- Oczywiście!

- Och, kocham cię! - zawołała Ila.

Nie potrzebowali więcej słów. Markiz pocałował ją. Potem całowali się znowu, aż do utraty tchu. Mała chatka zdawała się wirować szaleńczo wokół nich. Pociągnął Iłę za sobą przez kuchnię do małego salonu, gdzie mogli usiąść obok siebie na sofie.

- Musimy ułożyć pewne plany, moja piękna - powiedział - ale w tej chwili jest mi trudno myśleć o czymkolwiek innym, niż o tym, że miałbym ochotę ciągle cię całować.

Ila westchnęła.

- Powinna chyba wrócić do domu i poinformować tatę o zmianie decyzji.

- Twój ojciec powiedział mi najpierw, że odwiedzasz krewną, a później, że jesteś chora.

Czuła się naprawdę winna

- Biedny tata! Był tak przejęty twoją propozycją! Można by pomyśleć, że to on sam miał cię poślubić, a nie ja.

- Na pewno wybaczy ci twoją ucieczkę - pocieszył ją markiz. Szczególnie teraz, gdy już mu się nie sprzeciwiasz.

Położyła głowę na jego ramieniu.

- Kiedy jedliśmy śniadanie, wyglądaliśmy jak zwyczajna rodzina. To cudowne mieć cię przy sobie w tej przytulnej chatce.

- Mam zamiar zawsze być z tobą - zapowiedział stanowczo. - Chcę, abyś była tylko dla mnie.

Ila westchnęła.

- Ale będziemy musieli słuchać tych wszystkich ludzi, którzy będą nam mówić, jak powinno wyglądać nasze małżeństwo. To rozwieje wszystkie marzenia.

Markiz mocniej przytulił ją do siebie.

- Chyba jest na to sposób, może ci się on jednak nie spodobać.

- Wszystko, czego pragnę, to uczynić cię szczęśliwym - odparła miękko Ila. - Jesteś taki cudowny!

Roześmiał się.

- Wydaje mi się, że oceniałaś mnie bardzo krytycznie nie tylko dlatego, iż twój ojciec nalegał, abyś za mnie wyszła, ale także za sposób, w jaki traktowałem Robina.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- Obiecuję ci, że to się już nigdy nie powtórzy. I nie popełnię tego samego błędu w stosunku do swoich dzieci, bo ty będziesz zawsze stała przy mnie i służyła mi swoją pomocą.

- Kocham cię za to, że potrafiłeś to zrozumieć. Skoro nikt ci nie powiedział, nie mogłeś wiedzieć, jak bardzo Robin tęsknił za swoją matką. Co będzie - dodała - jeśli zmartwi go wiadomość o naszym ślubie? W jakiś sposób może być przecież... zazdrosny. - Mówiąc to, czuła się bardzo niezręcznie.

- Zostaw to mnie - odparł. - Ponieważ mam teraz ciebie, kochanie, wiem, co robić.

Wargami musnął delikatnie jej czoło.

- Nie słyszałaś jeszcze o moich planach związanych z naszym ślubem.

Podniosła głowę i spojrzała na niego, a on powiedział:

- Chciałbym, abyś była moja, zanim oficjalnie zostaniemy mężem i żoną.

- Jak... jak chcesz to zrobić? - zapytała trochę nerwowo.

- Wiesz na pewno, że ta wioska jest moja, ja również wybieram tutejszego pastora. To miły człowiek i, jeśli go o to poproszę, natychmiast udzieli nam ślubu. Gdyby później wyniknęły jakieś trudności, mógłbym zwrócić się do arcybiskupa Canterbury, który jest moim chrzestnym ojcem.

Kiedy skończył, przypomniało mu się, że królowa jest jego chrzestną matką. Pomyślał o pułapce, jaką na niego zastawiła. Wydawało się prawie niemożliwe, że pomogła mu w ten sposób w znalezieniu wspaniałej żony. Ila zajęła miejsce w jego sercu, które do tej pory było puste. Złączyła ich miłość, której pragną wszyscy, ale tylko niewielu dane jest takie szczęście.

- Chcesz przez to powiedzieć - pytała Ila - że możemy wziąć ślub... zupełnie sami?

- Nie będzie nikogo z wyjątkiem Robina - odpowiedział markiz, ale musisz oczywiście zaprosić chór aniołów, nimfy mieszkające na dnie stawu i wszystkie leśne duchy.

Chciała krzyczeć głośno o swoim szczęściu, ale nie mogła, ponieważ jej usta zostały zasypane pocałunkami.

*

Nieco później markiz zawołał Robina, który przez cały ten czas zajęty był Saracenenem. Chłopiec przybiegł natychmiast, a kiedy wszedł do kuchni, markiz powiedział:

- Chcę z tobą porozmawiać, Robinie, i chyba najlepiej będzie, jeśli przejdziemy do salonu.

Wcześniej uzgodnił wszystko z Ilą. Drzwi zostawił lekko uchylone, aby mogła słyszeć, o czym rozmawiali. Usadowił się w miękkim fotelu, a Robin usiadł na sofie.

- Potrzebuję twojej pomocy - zaczął markiz.
- Mojej pomocy?! - wykrzyknął zaskoczony Robin.
- Chodzi o Iłę. Obawiam się, że ty i ja możemy ją stracić.
- Chyba nie myśli znowu o ucieczce, wujku Osbercie? Musimy ją powstrzymać! - Chłopiec był wyraźnie przejęty.
- To właśnie zamierzam zrobić. I będziesz musiał mi w tym pomóc, a to nie będzie łatwe.
- Co mogę zrobić? Nie pozwolę jej odejść! Kocham ją i chcę, żeby ze mną została.
- Ja także chcę tego samego. Mam pomysł, jak to zrobić, ale musimy działać wspólnie.

Robin pochylił się do przodu i oparłszy łokcie na kolanach, zapytał:

- Co to za pomysł, wujku?
- Przemyślałem to dokładnie - odparł markiz poważnym tonem - i doszedłem do wniosku, że jeśli chcemy zmusić ją do pozostania z nami na zawsze, muszę się z nią ożenić!
- To znaczy, Ila zostałaby twoją żoną? - Chłopiec nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał przed chwilą.
- Tak, zostałaby moją żoną i zamieszkałaby w Rake. Robin przez chwilę zastanawiał się nad tym.
- I nie musiałaby już ukrywać się przed ludźmi, którzy próbowali zmusić ją do zrobienia czegoś, czego nie chciała?
- Zgadza się. Widzę, że zaczynasz wszystko rozumieć - ucieszył się markiz. - Ponieważ nie chcę, aby dłużej się martwiła i myślała o opuszczeniu nas, postanowiłem, że weźmiemy ślub dzisiaj w wiejskim kościółku i nikt oprócz ciebie nie będzie o niczym wiedział.
- Nie zapraszacie żadnych przyjaciół? - zapytał Robin.

- Ty będziesz naszym jedynym gościem, musisz więc być moim drużbą i w odpowiednim momencie podać mi obrączkę.

Oczy Robina błysnęły z zadowolenia, kiedy markiz ciągnął dalej:

- Zorganizujemy wszystko po południu. Ale nikt nie może się niczego domyślić. Nie wolno ci mówić o tym nikomu, dopóki Ila nie zostanie moją żoną i już nigdy nikogo nie będzie musiała się obawiać.

Chłopiec klasnął w dłonie.

- To wspaniały pomysł, wujku Osbercie. I oczywiście, chcę ci pomóc.

- Bardzo ci dziękuję. A po ceremonii ślubnej Ila na zawsze będzie należała do nas.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu, Robin wstał i rzucił mu się na szyję. Pocałował swojego wujka, a ten przytulił go mocno do siebie. W tym samym momencie pomyślał, że chciałby, aby jego synowie byli podobni do Robina, a przede wszystkim tak samo odważni jak on.

Kiedy chłopiec wyraził już całą swoją wdzięczność, markiz podniósł się z fotela.

- Mam wiele do zrobienia - powiedział. - Zostawiam Iłę pod twoją opieką. Musisz troszczyć się o nią do czasu mojego powrotu.

- Możesz być spokojny, wujku Osbercie - z dumą oświadczył Robin.

Obaj wrócili do kuchni. Ila nie musiała słowami wyrażać swojego podziwu dla mądrości przyszłego męża. Gdy uśmiechnęła się do niego, w jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

*

Czekając w kościele St. Mary, markiz pomyślał, że jeszcze nigdy nie dokonał tylu rzeczy w tak krótkim czasie.

Opuściwszy chatę, skierował się prosto na plebanie, aby poinformować pastora o planowanym ślubie.

Pastor był mocno zdziwiony, że wszystko miało pozostać w ścisłej tajemnicy. Zadowolony jednak, iż tak ważna ceremonia miała się odbyć w jego kościele, wyraził zgodę. Kiedy tylko markiz odjechał w kierunku leśnego domku, pospieszył po kwiaty do własnego ogrodu.

Nanny, dowiedziawszy się o planach markiza, powiedziała:

- Wiedziałam, że jest idealną kandydatką na pańską żonę już w chwili, gdy po raz pierwszy ją zobaczyłam. Dobry Bóg wysłuchał mnie.

- Chciałbym prosić cię, nianiu, abyś zajęła się Robinem w czasie naszego miodowego miesiąca.

Przerwał na chwilę i uśmiechnął się do niej, ale zaraz ciągnął dalej:

- Codziennie stajenny będzie przyprowadzał kucyka, aby Robin mógł jeździć konno. Jestem pewien, że twój mąż znajdzie mu jeszcze wiele innych zajęć.

- Zajmiemy się chłopcem, proszę się nie martwić - zgodziła się Nanny. - I wiem, że Ila będzie dla niego dobrą matką - dodała.

- Obaj jej potrzebujemy - przyznał, a potem poprosił jeszcze o zachowanie tajemnicy związanej ze ślubem.

W Rake markiz wydał kilka poleceń, które Barrettowi wydały się nieco szalone, ale ponieważ był dobrym służącym i doskonale znał swoje obowiązki, nie zadawał więc pytań.

Markiz zjadł szybko lunch, a potem napisał list do diuka. Poleciał lokajowi doręczyć go adresatowi jutro po południu i ani minuty wcześniej. Diukowi nie zaszkodzi z pewnością, jeśli poszukiwania córki potrwają trochę dłużej. Kiedy dowie się, że Ila spędza właśnie miodowy miesiąc, przeżyje szok, ale na pewno będzie zadowolony, ponieważ takiego zięcia

właśnie pragnął. Markiz dodał też w liście, aby diuk realizował swoje zamierzenia związane z ogierami z jego stajni.

- To go jeszcze bardziej uszczęśliwi - pomyślał z chytrym błyskiem w oku.

Jednemu ze stajennych kazał jechać do New Forest, gdzie młoda para miała zatrzymać się na kilka dni. Jego jacht gotowy do podróży, czekał w porcie.

Zmieniwszy ubranie, wsiadł do powozu i skierował się w stronę Fording Field. Sam wysiadł przy kościele, a woźnica pojechał do chatki, aby zabrać Ilę i Robina. Markiz dał mu kopertę i kazał wręczyć ją družbie. W środku znajdowała się obrączka, należąca przed laty do jego matki. Na dnie kieszeni pozostał zaręczynowy pierścionek, który zawsze pragnął dać swojej przyszłej żonie, jeśli naprawdę będzie ją kochał.

*

Ila wiedziała, że nie liczy się nic więcej poza ich miłością, ale mimo to chciała wyglądać ładnie w dniu swojego ślubu. Na szczęście wśród sukni, które zabrała ze sobą, znalazła się jedna biała. Była uszyta z delikatnego materiału i podobnie jak ta, w której rano powitała markiza, nadawała jej nieziemski wygląd. Ila nie miała jednak welonu, który na pewno musiałyby włożyć, gdyby, ceremonia była bardziej oficjalna. Zamiast tego razem z Robinem zerwała w ogrodzie trochę kwiatów, wśród których znalazły się białe bratki, fiołki i lilie. W czasach dzieciństwa, kiedy lubiła zbierać kwiaty rosnące dookoła zamku, jedna z guwernantek nauczyła ją, jak robić wianki i układać bukiety. Z białych kwiatów uplotła Ila wianek, który na jej złotych włosach wyglądał bardziej imponująco niż diamentowa tiara. W ręku trzymała zaś bukiet mieniący się wszystkimi kolorami wiosny.

Ponieważ markiz nie chciał, aby ktokolwiek z Rake domyślił się, co zamierza, nie zabrał ze sobą kwiatów. Ale,

gdy w kościele zobaczył Iłę idącą w towarzystwie Robina między rzędami ławek, miał wrażenie, że oto bogini zstąpiła z Olimpu. Była piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

W kościele nie było nikogo poza pastorem i niewidzialną osobą grającą delikatnie na organach. Gdy Ila stanęła obok markiza i wyciągnęła ku niemu rękę, jego palce mocno zacisnęły się wokół jej dłoni. Poczowała wibrację przepływającą przez ich ciała. Byli już tak blisko siebie, że nawet przysięga małżeńska nie mogła bardziej ich zbliżyć.

Ila dokładnie powiedziała Robinowi, co ma robić. Odprowadziwszy pannę młodą do przyszłego małżonka, stanął po stronie markiza, aby wręczyć mu obrączkę, gdy go o to poprosi.

Kiedy markiz wkładał obrączkę na palec Ili, w myślach dziękował Bogu, że pozwolił mu poślubić kobietę, którą kochał. Wiedział także, że ona również go kocha, ale nie z powodu majątku czy tytułu. Był człowiekiem, z którym pragnęła spędzić resztę życia.

Po ceremonii państwo młodzi odjechali. Nawet najbardziej wścibska osoba we wsi nie miała pojęcia, co wydarzyło się przed chwilą w maleńkim kościółku, Robin siedział naprzeciwko nich. Kiedy dojeżdżali do Rake, markiz powiedział:

- Na pewno zrozumiesz, że ja i Ila chcielibyśmy zostać sami dziś wieczorem. A jutro wyruszamy w podróż poślubną.

Widząc, że po twarzy Robina przemknął cień niezadowolenia, dodał szybko:

- Możesz zostać w tym czasie u Nanny. Będziesz miał tam wszystko, cokolwiek zechcesz.

Uśmiechnął się do chłopca i mówił dalej:

- Pan Wilcox chce, abyś mu pomagał. Codziennie też stajenny będzie przyprowadzał Firefly'a, a twój nauczyciel przyniesie ci wszystkie interesujące książki.

Chłopiec słuchał go uważnie.

- Ila i ja będziemy pisać do ciebie z każdego odwiedzonego przez nas miejsca. Sprawdzisz je potem na mapie i poznasz trasę naszej podróży. Wyślemy ci także zdjęcia.

- Robin nadal wyglądał na niezadowolonego, więc markiz próbował go pocieszyć.

- Następnym razem zabierzemy cię ze sobą. Ale teraz musisz mi wybaczyć, jeśli jestem trochę samolubny, chcąc mieć Ilę tylko dla siebie w czasie miodowego miesiąca.

- Rozumiem - odparł Robin niechętnie.

- Pan Wilcox powiedział mi, że suka z którą chodzę na polowania, ma sześć ślicznych szczeniaków. Zamierza wybrać sobie jednego i właśnie przyszło mi do głowy, że może ty również chciałbyś mieć swojego psa?

- Szczeniak dla mnie?! - wykrzyknął Robin.

- Możesz go tresować w czasie pobytu w leśnym domku.

- Och, to byłoby wspaniałe! Czy może ze mną spać?

- Oczywiście - zgodził się markiz. - Musisz karmić go i spędzać z nim dużo czasu, aby wiedział, że jesteś jego panem.

- Będzie dobrym i posłusznym psem - powiedział chłopiec patrząc na Ilę.

- Na pewno - odparła. - I musi pilnować cię do naszego powrotu.

Wyciągnęła w jego kierunku ramiona, a kiedy powóz zajechał przed dom, tuliła go i całowała. Gdy wysiadali, stajenny wyprowadzał ze stajni Firefly'a. Ila obserwowała, jak markiz żegnał się z chłopcem, a potem posadził go na konia.

- Chciałbym, żebyś zaglądał czasami do stajni, aby sprawdzić, czy z końmi wszystko w porządku.

- Dobrze - obiecał Robin.

- Poproś Nanny, żeby opowiedziała ci te wszystkie bajki, których słuchałem będąc w twoim wieku - dodał markiz. - Zna ich setki i na pewno spodobają ci się.

Ila ścisnęła dłoń chłopca.

- Niedługo wrócimy - powiedziała. - Przyrzekam, iż z każdego miejsca będziemy pisali do ciebie i wysyłali ci pocztówki.

Robin pochylił się i jeszcze raz ją pocałował.

- Będę myślał o was przez cały ten czas, kiedy będziecie daleko.

Odjechał, a Ila machała tak długo, aż zniknął jej z oczu. Potem razem z markizem weszła do domu.

- Możesz mi pogratulować, Dawson - markiz zwrócił się do lokaja. - Lady Lavinia i ja właśnie wzięliśmy ślub, a ty jesteś pierwszą osobą, która o tym wie.

- To bardzo dobra wiadomość, milordzie, naprawdę bardzo dobra. Życzę państwu dużo szczęścia.

- Dziękuję - odparł markiz.

- Pan Barrett kazał przynieść szampana do pańskiego gabinetu, milordzie.

- Zajrzemy tam później. Najpierw chce pokazać mojej żonie jej pokoje. Kiedyś mieszkała w nich moja matka.

Zaprowadził Ilę po schodach na górę. Rozglądając się wokoło, pomyślała, że Rake było najbardziej imponującą posiadłością, jaką mogła sobie wyobrazić. Było w tym domu coś, co sprawiało, że wyglądał jak urzeczywistnienie jej marzeń.

Sypialnia, do której zabrał ją mąż, była bardzo piękna. Wszędzie stały kwiaty, a powietrze przesycone było zapachem lilii i orchidei. Patrzyła na to wszystko, nie dowierzając własnym oczom. Kiedy markiz zamknął drzwi, stanęła naprzeciwko niego.

- Ja śnię! Wiem, że to sen! - powiedziała. - Kochanie, proszę pocałuj mnie, abym się obudziła.

Markiz roześmiał się i objął ją. Całowali się tak długo, aż oboje mieli wrażenie, że szybują po niebie, a słońce spowija ich ciała.

- Jesteś moja! Moja i nikt nigdy nie odbierze mi ciebie!

- Jak mógłby to zrobić? - zapytała Ila. - Jestem tylko twoja... absolutnie twoja... całkowicie twoja...

Delikatnie zdjął wianek z jej skroni, a długie loki miękko rozsypały się na ramionach.

- Taką chcę cię widzieć, serce mego serca, moja nimfo, moja duszo - powiedział namiętnie.

A potem słyszeli już tylko szum drzew, czuli zapach kwiatów i miłości, która złączyła ich na wieczność.